

NA CHWAŁĘ SŁOŃCA

I OGÓLNOPOLSKI
KONKURS LITERACKI
IM. WANDY
DOBACZEWSKIEJ

23 listopada 2020 r. - 30 marca 2021 r.

POEZJA / PROZA

**WYRÓŻNIONE I NAGRODZONE
PRACE KONKURSOWE**

Organizator



Patronat Honorowy



Honorowy Patronat
Starosty Zyrardowskiego

Partner konkursu



Szkoła Podstawowa
im. Wandy Dobaczewskiej
w Gęsiwie



Województwo
Kujawsko-Pomorskie

Institucja kultury
Samorządu Województwa
Kujawsko-Pomorskiego



I Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Wandy Dobaczewskiej

Konkurs został zorganizowany przez Wojewódzką i Miejską Bibliotekę Publiczną im. dr. W. Bełzy w Bydgoszczy pod patronatem Marszałka Województwa Kujawsko-Pomorskiego. Honorowy patronat przyjął starosta żniński, partnerem była Szkoła Podstawowa im. Wandy Dobaczewskiej w Gąsawie.

Konkurs miał na celu upamiętnienie twórczości Wandy Dobaczewskiej, polskiej pisarki, poetki, publicystki, autorki sztuk dla teatrów kukiełkowych oraz animatorki kultury. W roku 2020 minęła setna rocznica debiutu literackiego Wandy Dobaczewskiej (z domu Niedziałkowskiej), która swoją drogę literacką rozpoczęła wydaniem tomiku poetyckiego „Na chwałę słońca” w Wielkopolskiej Księgarni Nakładowej w Poznaniu (1920).

Do wybuchu II wojny światowej Wanda aktywnie uczestniczyła w życiu kulturalnym i literackim Wilna, gdzie mieszkała wraz ze swoją rodziną. Od 1927 roku była członkiem Związku Zawodowego Literatów Polskich i współorganizatorką znanych „Wileńskich Śród Literackich”. Przeżyła obóz koncentracyjny w Ravensbrück. Po wojnie wróciła do Warszawy, gdzie spisała swoje traumatyczne wspomnienia w książce „Kobiety z Ravensbrück” (1946). Potem przeniósła się do Torunia. Tam pracowała w Bajcu Pomorskim i współpracowała z Polskim Radiem. Od 1951 roku zamieszkała w Żninie i pokochoła Pałuki, którym poświęciła prawie 30 lat swojej aktywności twórczej i to zarówno literackiej, jak i kulturalnej. Była jedną z pierwszych członkiń Żnińskiego Towarzystwa Kultury, inicjatorką wielu ciekawych przedsięwzięć kulturalnych dla miasta, współpracowała również z Biblioteką w Żninie. W Bydgoszczy i Toruniu była znana jako aktywna członkini Związku Literatów Polskich. Jest autorką wielu publikacji, w tym siedmiu powieści napisanych w Żninie. Zmarła 23 listopada 1980 roku.

Niedawno minęło 40 lat od śmierci Wandy Dobaczewskiej, a także stulecie Jej twórczości literackiej. W roku 2021 mija 70 lat odkąd przyjechała na Pałuki i po traumie wojennej rozpoczęła nowe życie. Jako wnuczce Wandy Dobaczewskiej jest mi bardzo miło, że Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna w Bydgoszczy podjęła inicjatywę zorganizowania ogólnopolskiego konkursu literackiego Jej imienia.

Zostałam poproszona o przewodniczenie kapitule konkursowej, do której zaprosiłam znanych mi i od wielu lat sprawdzonych „przyjaciół po piórze”. Jury rozpoczęło swoją pracę od pierwszych dni kwietnia. Trzeba przyznać, że ilość zgłoszeń na konkurs przeszedł nasze najśmielsze oczekiwania. Wpłynęło blisko 500 prac, z czego zakwalifikowało się (zgodnie z regulaminem) 412. uczestników z całej Polski. Nie zabrakło również prac z Japonii, Włoch, Wielkiej Brytanii i Niemiec. Mieliśmy do przeczytania ok. 750 utworów poetyckich i ok. 500 stron prozy. Wybór nie był łatwy, mieliśmy sporo pracy, ale bardzo przyjemnej. Dziękując całemu zespołowi, z którym miałam przyjemność współpracować, gratuluję również wszystkim uczestnikom konkursu tak bogatej i różnorodnej twórczości.

Helena Dobaczewska-Skonieczka

Werdykt Jury z dnia 6 maja 2021:

I Ogólnopolski Konkurs Literacki im. Wandy Dobaczewskiej trwał od 23.11.2020 r. do 30.03.2021 r. Był otwarty i zorganizowany w dwóch kategoriach rodzajowych: poezja i proza, oraz dwóch kategoriach wiekowych: „A” – dorośli i „B” – młodzież (w wieku 12-18 lat).

W kategorii „A” wpłynęło 108 prac prozatorskich i 176 zestawów poetyckich (razem 284), w kategorii „B” – 51 prac prozatorskich i 77 zestawów poetyckich (razem 128).

Jury konkursu w składzie: **Helena Dobaczewska-Skonieczka, Alina Rzepecka, Małgorzata Grajewska, Tadeusz Oszubski**, wybrało następujących laureatów:

W dziedzinie poezji:

kategoria „A” (dorośli)

I miejsce: Karmaniola,

II miejsce: Spotkanie,

III miejsce: Aronson

- wyróżnienia: Borgis, Prospero

kategoria „B” (młodzież)

I miejsce: Eleonor Rigby,

II miejsce: Zuza1,

III miejsce: Emipoz

- wyróżnienia: Mikoto, Róża1

W dziedzinie prozy:

kategoria „A” (dorośli)

I miejsce: Szary dzień,

II miejsce: Kamea

III miejsce: Hołga

- wyróżnienia: Pola, Kapelusz

kategoria „B” (młodzież)

I miejsce: Imbir,

II miejsce: Ananas

III miejsce: Ruda

- wyróżnienia: Hrabia, Zuza

W almanachu zostały również umieszczone, a tym samym uhonorowane, prace nawiązujące do twórczości Wandy Niedziałkowskiej-Dobaczewskiej (12 osób):

W dziedzinie poezji:

katęgoria „A” (dorośli)

Ankudowicz, Doryforos, Inwencja, Irenkus, Kaziuki_72, Pestka Słonecznika, Szypszyna

katęgoria „B” (młodzież)

Autor 6, Autor 11

W dziedzinie prozy:

katęgoria „A” (dorośli)

Garść Szpinaku

katęgoria „B” (młodzież)

Stoliczek kawowy, Autor 14

Poniżej publikujemy nominowane i nagrodzone prace.

PROZA kat. „A”
dorośli

I Miejsce: Maria Krzywdą (Gdańsk)
godło: SZARY DZIEŃ

ŁAWECZKA

Siedziała na peronie drugą godzinę. Wpatrywała się w tarczę zegara zawieszoną na masywnej stropowej belce wśród kołców mających chronić czas przed brudem gołębih odchodów. Zegar tykał powoli, powolutku, coraz wolniej. Siedziała na niewygodnej ławce nieruchomo, nie zwracając uwagi na podróżnych przelewających się dookoła – rzeka, strumień, prąd istnień – opływały ją meandry ludzkich egzystencji przecinające się krokami na betonowej płycie.

Zaginięcie syna zgłosiła na policji tego samego dnia, kiedy nie wrócił. I następnego, bo pierwszego było za wcześnie, i jeszcze następnego, na wszelki wypadek i żeby sprawdzić, czy na pewno odnotowali. Obdzwoniła rodzinę, znajomych i obcych. Wykręciła każdy numer, który znalazła w domu i który przyszedł jej do głowy. Nikt nic nie wiedział.

Przychodziła na dworzec codziennie, czekała codziennie, siadała na ławce na peronie dla połączeń dalekobieżnych i wpatrywała się w zegar i przejeżdżające pociągi. Wsluchiwała się w przerywaną melodię kółek od bagaży pokonujących nierówności podłoża i rytmiczny dźwięki kół sunących po szynach – tuk-tuk, tuk-tuk, tuk-tuk, klang, tuk-tuk, tuk-tuk, tuk-tuk, klang, aż do ostatniego wagonu. Nauczyła się rozróżniać melodie składów towarowych z węglem, cystern i pustych kontenerów – każdy tworzył własną muzykę, niepowtarzalne połączenie tylko sobie właściwych zgrzytów, pisków i łoskotu. Metal o metal śpiewał, zawodził, nowoczesne pasażerskie składy szeptały. Nigdy tak o tym wcześniej nie myślała, a jednak, gdy siedziała na peronie, wsłuchując się w otaczające ją dźwięki, to właśnie słowo muzyka przychodziło jej do głowy.

Po odjeździe ostatniego pociągu wracała do domu opustoszałymi ulicami. Liczyła neony i oglądała się za każdym mężczyzną wzrostu syna. Kiedyś ją napadli. Przewrócili, urwali pasek od torebki, zabrali pieniądze. Telefon zostawili – tak starego modelu nikomu nie udałoby im się odsprzedać.

– Niech sobie baba zanurkuje – zarechotali i wyrzucili aparat do śmietnika.

Kiedy zniknęli za rogiem, wygrzebała telefon spomiędzy starych gazet i resztek jedzenia. Starannie wytarła wyświetlacz ubrudzony keczupem i przytuliła do piersi. Nie zniosłaby myśli, że syn mógłby zadzwonić, a ona nie miałaby go przy sobie.

Nie zgłosiła kradzieży, kupiła gaz pieprzowy i paralizator. Zaczęła nosić klucze w kieszeni kurtki, nie jak wcześniej w torebce.

Śniło jej się, że syn zadzwonił. Obudziła się rano i zobaczyła na wyświetlaczu nieodebrane połączenie. Nieznany numer, na policji nie chcieli sprawdzić, nalegała, wrzucili w Google – telemarketing.

Potem telefon dzwonił jeszcze kilka razy. Sprzedawali darmowe mopy, żelazka i weekendy w spa, kryształowy dobrej energii i bio-skarpety, plastry na pasożyty i magiczne patelnie. Garnki, odkurzacze i filtry do wody. Niczego nie kupiła, nigdzie nie poszła.

Lato było ciepłe. Nie zawsze wracała do domu na noc. Któregoś dnia zostawiła w łazience na pralce paralizator, gaz pieprzowy i kurtkę. Zabrała telefon. Miała go zawsze przy sobie.

Bezdomni z dworca zaczęli mówić jej „dzień dobry” i „dobry wieczór, pani dobrodziejko”. Czasami dzieliła się z nimi herbatą z termosu i kanapkami z serem. Zadomowiła się na ławeczce na peronie. Zimnej, niewygodnej, pod którą mieszkała nadzieja. Zamieszkały razem – ona na ławce, nadzieja pod spodem. Położyła na betonie gazety, postawiła termos, przyniosła plastikowy spodek, do którego sypała gołębiom płatki owsiane. Zbierały się u jej stóp i gruchały o dalekim świecie. O nadjeżdżających pociągach i o tym, że z góry wyglądają, jak wielkie szare i rdzawe gąsienice pożerające tory. O ludziach, którzy przyjeżdżali z bliska i z bardzo daleka. O chmurach i prądach powietrznych, i trochę o samolotach.

Lubiła słuchać gołębi, karmiła je kaszą i owsem. Nie dawała im chleba. Kiedyś syn jej powiedział, że szkodzi ptakom. Wtedy nie uwierzyła.

Chciała być jak one, móc odlecieć z niewygodnej ławeczki wrosniętej w peron z betonu, pod którą mieszkała nadzieja. Z czasem zapomniała o zegarze wiszącym na stropowej belce. Przestała spoglądać w niebo, patrzeć w daleką przyszłość. Świat stał się mały i ciasny. Coraz mniej uważnie słuchała gołębiich opowieści, coraz rzadziej przyglądała się wagonom. Nie opuszczała ławeczki, bała się, że jak tylko to zrobi, to przegapi jego powrót i jeśli ona nie będzie czekać, to on wsiądzie do pociągu i znowu odjedzie.

W jej domu zamieszkał strach – kiedy wchodziła do pokoju syna, leżał na łóżku i przeglądał stare albumy ze zdjęciami.

– Przecież on już nie wróci – mówił i wydrapywał chłopięce twarze starym gwoździem.

Bardzo szybko rozpanoszył się w pozostałych pokojach. Chodził za nią krok w krok i opowiadał o okropieństwach wydarzających się na świecie. Wyświetlał jej przed oczyma klótnie, gorzkie słowa, ponure myśli. Przypominał przeczytane artykuły, obejrzone filmy, zasłyszane historie – wszystkie o złu tego świata. Szeptał do ucha o śmierci, cierpieniu i samotności. O słowie „mamo”, którego nigdy już nie usłyszy. Kreślił najczarniejsze scenariusze – o wypadkach, porwaniach, szpitalach i chorobach. O bólu, winie i karze. Przestała ufać swojej pamięci i swoim myślom. Uciekała z domu, trzaskając drzwiami. Zbiegała po schodach, choć brakowało jej tchu i nogi nie chciały jej nieść. Roztrzęsiona siadała na ławeczce na peronie i wkładała dłonie między kolana.

Któregoś dnia zadzwonili policjanci. Po skończeniu rozmowy spakowała walizkę, pożegnała strach stojący w progu mieszkania i zamknęła drzwi. Na stole zostawiła list.

*Kochany synku,
niewiele się wydarzyło od twojego zniknięcia. Codziennie chodzę na dworzec. Policja twierdzi, że niektórzy nie chcą zostać odnalezieni. Nie wiem, co o tym sądzić. Nie powiedziałam im o naszej klótni. O tym, że chciałeś wyjechać na studia i że ja nie chciałam. Powiedziałam tylko, że marzyłeś o tej uczelni. Sprawdzili spis studentów. Nie chcieli powiedzieć, czy na nim jesteś.
Masz klucze. Nie wiem, kiedy wrócę, pojechałam cię szukać. Zadzwoń, jeśli wrócisz. Jak już wrócisz. Numer wciąż ten sam.*

mama

Na dworcu kupiła bilet do miasta, z którego nie wrócił. Termos z herbatą zostawiła pod ławką, nasypała gołębiom owsa, zabrała ze sobą nadzieję.

– Wam niepotrzebna, macie skrzydła – powiedziała i odwróciła się na spotkanie nadjeżdżającego pociągu.

II Miejsce: Anna Paterek (Bydgoszcz)

godło: KAMEA

OKULARY

Od wschodu słońca w Paprotnicy i jej licznych przysiółkach trwało wielkie poruszenie. Całe rodziny wystrojone w najlepsze koszule, spódnice i sukmany odrywały się na jeden dzień od swoich zajęć, aby przybyć na doroczny odpust św. Jacka. Ludziska tłoczyli się tak bardzo, że nie można było wcisnąć szpilki. Zewsząd było słychać radosny gwar, głośnie śmiechy i pokrzykiwania. Po obu stronach drogi prowadzącej do kościoła wędrowni handlarze rozstawili liczne kolorowe kramy uginające się pod ciężarem stosów cukrowych kukielek, tutek z łakociami, obwarzanków, drewnianych zabawek, świętych obrazków i błyskotek. Na placyku przy bramie kuglarze pokazywali swoje sztuczki. Mimo sędziwego wieku na odpuscie pojawiła się nawet baba z mocno już posiwiąłą brodą, bo chciała (może ostatni raz w życiu) zobaczyć starych znajomków.

Największą ciekawość budził jednak Aturob, który zawitał na te tereny po raz pierwszy. Tłum dziwował mu się wielce, bo ogorzała, niemal hebanowa skóra w połączeniu z czarnym gęstym wąsem i oczami żarzącymi się jak dwa węgle pod krzaczastymi brwiami, nadawała mu nader osobliwy wygląd. Obwoźny handlarz nosił się z miejska – miał na sobie frak z dewizką na łańcuszku i cylinder. Podpierał się drewnianą laseczką zakończoną głową kozła, gdyż lekko utykał. A takich cudeniak jak on nie miał nikt w swoim kramie. Były tam dziwne maski i figurki, kolorowe muszle, zagadkowe instrumenty, flaszeczki z magicznymi miksturami i sproszkowanymi roślinami, tajemnicze kamienie i amulety – wszystkie przywiezione z dalekich podróży po egzotycznych krainach i morzach. Wśród nich, na samym środku, leżały okrągłe okulary w metalowej oprawie, które niczym zupełnie się nie wyróżniały. Takie same nosił prawie każdy skryba. Mimo to Pietrek od Stachy Pawlukowej spod lasu, którego w dzieciństwie koń kopnął w głowę i pomieszał mu rozum, patrzył na nie z rozdziawioną gębą jak urzeczony i zagadnął kramarza:

- Panie kochany, a te okulary co takiego umieją robić?

Pusty śmiech ogarnął gawieźdź po tych słowach, ale Aturob szybko uciszył publikę. Powiedział powoli i dobitnie, zniżając głos, a jego oczy miały przy tym błyskawice:

- To nie są zwykłe okulary. Każdy, kto je założy, zobaczy – dla większego efektu zrobił teatralną pauzę – NAGĄ PRAWDĘ!

Chłopi (od podrostków po starców) wyraźnie rozochocili się na tę wieść. Chichotali, poszturchiwali się łokciami i znacząco mrugali jeden do drugiego, poka-

zując na Józkę Kaźmierzową – żonę kowala, największą krasawicę w okolicy. Niejeden chciałby zgłębić „nagą prawdę” o jej wydatnych wdziękach. Młódki zaś śmiały się w kułak zarumienione po czubki włosów i ukradkiem zerkwały na Antka Gębale – młodego młynarza. (Także niejedna gospodyni patrzyła na niego łasym wzrokiem.) Chłopak był z niego jak malowanie, do tego wielki i silny jak dąb. Gdy jedną czy drugą pannę na zabawie przycisnął w tańcu do serca, to w niedzielę kolejka do spowiedzi ciągnęła się już od kruchty. (A pokuty ksiądz proboszcz, zwłaszcza za myśli nieczyste i nieobyczajność, zadawał bardzo srogie!)

- A po ile masz pan te cudenka? – zapytał fernal Maćko od Bogdanów.

- Okulary nie są na sprzedaż! – odpowiedział twardo Aturob. – Ale za trzydzieści dukatów można się przez nie napatrzeć do woli! – dodał.

W tłumie dał się słyszeć pomruk wyraźnego niezadowolenia, bo handlarz żądał znacznej kwoty i wielu chętnych musiało się obejść smakiem. Pokusa była jednak tak silna, że kilka najgorętszych głów postanowiło stracić ostatni grosz a raz w życiu nacieszyć porządnie oczy.

Pierwszy do podziwiania Kowalowej ruszył karczmarz Jarema Kolasa. Szybko wysupłał monety z sakiewki i rzucił na stolik obity czerwonym, wyliniałym sukniem, żeby mu inni czasem nie wypatrzyli całej „nagiej prawdy” o Józce. Cmoknął z zadowolenia, oblizał się lubieżnie, podkręcił węża i ciężko posapując, drżącymi rękami umieścił okulary na nosie. Aturob podał mu jeszcze sporych rozmiarów lustro, aby się przejrzał i sprawdził, czy aby na pewno dobrze leżą. Jednak ledwie karczmarz zerknął kątem oka w zwierciadło, wyraźnie się czegoś przeląkł. Zrobił się błądy jak chusta a perlisty pot zrosił mu czoło. Spojrzał jeszcze na Kaźmierzową i wykrzywił usta w grymasie obrzydzenia. Zerwał okulary z twarzy, cisnął je na oślep, machnął ręką i odszedł na bok z głupią miną. Całkiem mu przeszła ochota na dalsze patrzenie.

- Dorosły chłop i ma cykora przed gołą babą! – szydziła stara Jaśka Maksymiukowa.

- Co żeś tam uwiidział – diabła samego? Taka jest szpetna, żeś dał drapaka? Może chowa ogon pod przyodziewkiem? – wtórowali jej inni.

- Eee, szkoda gadać. Oszukaństwo jakies i tyle – tłumaczył się pokrętnie Kolasa i za żadne skarby nie chciał powiedzieć, co takiego zobaczył.

Z kolejnymi miłośnikami „nagiej prawdy” było podobnie. Organista Wicuş Ogarek nabożnie się przeżegnał, trzy razy splunął przez lewe ramię i tak prędko uciekł w pole, jakby goniła go kostucha z kosą i chciała żywcem zabrać w zaświaty. Janko Gniewosz – pan na folwarku niemal padł trupem na miejscu. Dwóch tęgich chłopów musiało go podtrzymywać. Gdy oprzytomniał, wszczął wielką awanturę. Nie przebieierał przy tym w słowach i żądał zwrotu dukatów.

- Przecież żeś ujrzał nagą prawdę dobrodzieju, czyż nie? – odparł spokojnie Aturob.

Gniewosz w mig zamilkł, bo musiał mu w duchu przyznać rację. I nie chciał się z niczym zdradzić przed ludźmi. Pogroził tylko handlarzowi pięścią purpurowy ze złości, poprzysiągł na prochy przodków, że mu wytoczy proces, kazał się natychmiast wynosić ze wsi i odszedł jak niepyszny.

Niezwykły przybysz uśmiechnął się szelmowsko, bo dobrze wiedział, co każdy z nich zobaczył. Karczmarz dostrzegł gwałtownika używającego ponad miarę gorzałki i innych ziemskich uciech zmienionego z czasem w zniszczony, wychudły na wiór wrak człowieka, z opuchniętą i przekrwioną twarzą, pośrodku której zamiast nosa ziała upiorna dziura. Organista uchwycił w swoim lustrzanym odbiciu obraz krętacza, złodziejzaska i hazardzisty odmalowanego jako sine truchło bez stóp i dłoni, z nieludzko wybałuszonymi oczami dyndające na stryczku po rozrachunkach z lichwiarzami. Pan na folwarku z kolei przez mgnienie oka widział samego siebie w krwawych strzępach, zasieczonego widłami oraz kosami przez chłopów w podzięce za nędzę i poniewierkę, jakie przez niego cierpieli i za to, że własnymi rękami posłał niejedną duszę na spotkanie ze św. Piotrem. Piękna żona kowala zaś każdemu, kto na nią spojrzeł, jawiła się jako zzieleniała, gnijąca, rozdęta topielica, która wolała zimne wody stawu od nieszczęsnego życia u boku leciwego, ale bogatego, wybranego przez rodziców, małżonka. Okulary w rzeczy samej pokazywały nagą prawdę, ale o człowieku – o tym, jaki jest i jaka przyszłość go przez to czeka.

Aturob uklonił się wszystkim z pańska, zamaszystym ruchem schował za pazuchę pękata sakiewkę z monetami, odjechał ze swoim kramem w stronę lasu i już nigdy więcej nie pokazał się w okolicy.

III Miejsce: Magdalena Krasnodębska (Jadów)

godło: HOLGA

KOLEKCJONER

Pewnego dnia poznałam mężczyznę. Bardzo się do siebie zbliżyliśmy, aż nadeszła pora, że pokazałam mu swoje serce. On je ukradł i nie miał zamiaru zwrócić, ponieważ uważał, że to w porządku kraść serca innych ludzi – był nie tylko złodziejem, lecz także kolekcjonerem serc.

Mężczyzna ten miał w swojej kolekcji mnóstwo serc, jednak nie interesowało go ich używanie. On chciał tylko posiadać je na własność i nie myślał wcale o ludziach, którzy przed kradzieżą robili z nich jakiś pożytek. Jedynym celem kolekcjonera było wyszukiwanie kolejnych serc, zajmował się tym nieustannie i wydawał się nigdy nie mieć tego dosyć.

Kiedy jakieś zebrał, patrzył na siebie w lustrze i myślał: „jestem taki super, zebrałem tak wiele serc, jestem wybitnym kolekcjonerem. To prawdziwa sztuka, czyż nie”? To była sztuka, ponieważ on skolekcjonował wystarczająco cennych i pięknych serc, by móc stworzyć z nich wystawę i zarobić dzięki temu mnóstwo pieniędzy. Ale on nigdy nie myślał o zarabianiu pieniędzy. On myślał tylko o sobie i o przyjemności kolekcjonowania.

I serca trwały zamknięte w gabinecie kolekcjonera aż do dzisiaj. Ponieważ dzisiaj coś się wydarzyło. Było takie jedno serce, które wyróżniało się na tle innych. Złodziej czuł się niezwykle dumny, że je posiada. Nie wiedział jednak, że serce to musi być traktowane inaczej. Zrozumiał z jak wyjątkowym okazem miał do czynienia, gdy chciał obchodzić się z nim tak jak z wszystkimi innymi – zamknąć w gabinecie, w ciemności, patrzeć na niego od czasu do czasu i dotykać raz na tydzień podczas sprzątanía. Inne serca spokojnie trwały zamknięte w klatkach i nie wykazywały żadnych niepokojących objawów tego, że znajdowały się z dala od swoich właścicieli. To serce natomiast skakało, robiło dużo hałasu i uciekało z klatki, gdy kolekcjoner je czyścił. Wtedy dotarło do niego, że serce nie mogło się doczekać, by zostać przez niego użyte i przestanie bić, jeśli tak nie nastąpi. Od tamtej pory zaczął traktować je jak skarb – obchodził się z nim bardzo ostrożnie i nie mógł uwierzyć, że należało do niego. Ale również był świadkiem tego, jak postępował proces jego umierania. Każdego dnia kolekcjoner odwiedzał je i widział, jak przybiera coraz ciemniejszy kolor i skacze coraz mniej energicznie.

Mężczyzna poczuł się bezradny, ponieważ zdał sobie sprawę z jednej rzeczy: on nigdy nie używał żadnego serca, on zawsze tylko je kolekcjonował. Jak to

zrobić? Jak pomóc sercu odzyskać jego kolor, jak sprawić, by znowu było piękne? Ja nie wiem, co on zrobił. Odpowiedź: otworzył szafki z pozostałymi sercami i pozwolił im odlecieć.

Wyróżnienie: Jerzy Kędzierski (Poznań)
godło: KAPELUSZ

1 WRZEŚNIA 2020

Jadę do Teresy na kawę. Żeby nie jechać tramwajem po próżnicy, żeby nie mieć jałowego przebiegu, zastanawiam się, kto w galowo ubranej grupie licealistów jest nieformalnym przywódcą. Przypatruję się, kto w kim jawnie lub półjawnie podkochuje się. Próbuję odgadnąć, kto w kim zakochał się tajnie. Są odświętni. Wytesknili się najpierw przez zdalne nauczanie, potem przez wakacje. Przywódcą nieformalnym, liderem nieoficjalnym, prawdopodobnie jest loczkowaty, bardzo wysoki blondyn w dyskusyjnym, ściągającym uwagę kapeluszu. Jego dowcipy są błyskotliwe. To on kwituje rzucane przez innych pomysły. Ale dziewczyny marzą, myślą raczej o milczącym brunecie, który czarne, terenowe buty i bojówki skomponował z nienaganą białą koszulą z kołnierzem. To w jego oczy, to w jego wyraźny zarys brwi ukradkiem wpatrują się. Chcieliby tak odświętnie, starannie, biało-czarno ubierać się częściej – można wnioskować z ich uśmiechów. Jak pierwszy września, to początek szkoły. Jak początek szkoły, to gala – tak ma być, chcą tego. Gdyby nie szkoła, to skąd by byli koledzy i koleżanki? Życie bez przyjaciół nie ma sensu – kto niegłupi, ten wie.

Tramwaj zatrzymał się na przystanku. Wsiadła kolejna uczennica, i mimo pandemii, z piskiem rzuca się na szyje wszystkim po kolei. Rówieśnicy odwzajemniają jej pocałunki i uściski. Stary jegomość, który w lateksowych rękawiczkach trzyma się rurki, nie waha się wyartykułować swego oburzenia. Bojaźliwy, zgorszony dziadek w ortalionowym płaszczu z podniesionym kołnierzem i obcisłą maseczką zasłaniającą trzy czwarte twarzy nie na żarty fuka w stronę młodzieży:

– Gdzie macie maseczki! Cholera jasna! Jest zaraza! Jest nakaz zasłaniania nosa i ust!

Młodzi w grupie czują się pewnie. Wysoki chłopak w kapeluszu (przywódca nieformalny według mnie) pokazując w uśmiechu białe, zdrowe zęby odpowiada:

– Proszę pana, kto ryzykuje nie jest nieśmiertelny. Ale kto nie ryzykuje, nie żyje wcale!

Starszy pasażer trzęsie się z nerwów. Pluje się pod maseczką, bluźni, przeklina – kto by tam się wsłuchiwał w to, co zrzędzi. Młodzi zajęci są sobą, nie zwracają już na niego uwagi. Ktoś rzuca:

– Przyznaj się, ale ten kapelusz, to babci ze strychu zajmowałś?

Loczkowaty blondyn odcina się gestem, jakby chciał dzielić kuksańcem kolegę. Sypią się żarty. Dziewczyny protestują, że nie chcą jechać nad Wartę, że szkoda im butów na trawę. Chcą jechać do parku przy Starym Browarze. Kto zwycięży, czy chłopcy, którzy chcą nad Wartę, czy dziewczyny, które chcą do parku? – nie dowiem się, bo wcześniej wysiądę. Jedno jest pewne: nie rozdzielią się szybko. Teraz do tramwaju wsiada chuda staruszka. Bada jedną nogą, czy stopnie w tramwaju nie są z tektury czy tramwaj nie jest z kartonu. Wsiada ostrożnie, trwa to wieki.

Motorniczy traci cierpliwość i poganiam dzwonkiem, ale nie zamyka drzwi. Babuleńka nie domaga się pomocy. Po prostu wsiada pomalutku, ostrożnie, delikatnie, ale samodzielnie. Sprawdzała, czy podłoga tramwaju nie jest zdradliwa jak cienki lód. W końcu zajęła miejsce. Trudno nie zauważyć jej biedy. Ubranie ma dziesiątki razy nicowane. Obok ze starości cienkich jak pergamin sandałków postawiła koszyk taki, jaki można zobaczyć w muzeum etnograficznym. Milczący brunet (ten, w którym być może kocha się większość dziewczyn z klasy, a może nawet z całej szkoły) przemówił. Zwrócił się do nieformalnego, według mnie, przywódcy:

– Może podarowałbyś pani kapelusz, przecież i tak jest damski.

Nieformalny lider grupy przez ułamek sekundy zawahał się, jaką dać ripostę; dowcipną czy ciętą. Chłopcy prawdopodobnie rywalizują ze sobą. Loczkowaty blondyn zdejmując kapelusz i scenicznym szeptem mówi do rówieśników:

– Ej, chodźcie: raz, raz zrobimy ściepę dla tej pani, zanim wysiądzie...

Wyciąga z kieszeni zmiętą dziesięć złotych, wkład do kapelusza i podstawią go pozostałym. Koleżanki i koledzy, łącznie z milczącym brunetem, łapią się za kieszenie, torebki; wyciągają portfele i wrzucają monety i banknoty do kapelusza. Po zaledwie kilku krótkich minutach loczkowaty blondyn zbliża się do babuleńki i dyskretnie mówi:

– Proszę pani, to dla pani, proszę zrobić nam grzeczność i przyjąć.

Wyobrażacie sobie osłupienie starowinki. Z niedowierzaniem, po chwili, pomału decyduje się. Powoli Dürerowską dłoń kieruje do wnętrza kapelusza i, mimo że są banknoty, chwytając w palce jedną, wybraną monetę i patrzy w oczy blondynowi, jakby chciała zapytać, czy tę może?

– Nie, nie – mówi blondyn – całość jest dla pani, razem z kapeluszem bardzo proszę wziąć.

Skończyłem opowiadać Teresie. Teresa cierpliwie wysłuchała i mówi energicznie:

– Co mi tu opowiadasz? Też mi „nadzwyczajna” historia. Przecież to normalne, że w młodych ludziach jest idealizm, spontaniczność, pokłady dobra. Chcą się raz w roku szkolnym odświeżyć, elegancko ubrać, co w tym dziwnego? W ogóle banalne zdarzenie.

Prawdopodobnie zrobię przerwę w kawkach u Teresy.

Wyróżnienie: Patrycja Mierzejewska (Wrocław)

godło: POLA

STEFAN

Każdy dzień jest taki sam. Jedyna pewna zmienna to pogoda za oknem, przez które wyglądam, oszukując sam siebie, że mnie to zajmuje. Nie ma nic bardziej żalostnego od gapienia się przez szybę. Imitacja rzeczywistości, pozbawiona smaku, odarta z zapachu. Cztery ściany jak betonowa cela, z mającą umilić mi życie witryną. Co z tego, że mieszkam na parterze? Nigdzie nie jest mi bliżej, donikąd się nie wybieram. Dni kopiuj-wklej, dni rozlaźle jak rozmoczony na dnie miski makaron, na który czasem zbyt długo się gapię, dni pęczniejące od sfermentowanej nudy.

Wstajemy codziennie o 7, ona musi zdążyć do pracy. Budzik zawsze dzwoni dwa razy zanim łaskawie ruszy tyłek, żeby podać mi śniadanie. Zwykliśmy jadać w milczeniu. Rano nie jest zbyt wylewna, nie zarzuca mnie nieskładną litanią gorzkich żali, nie raczy opowieściami o ludziach, których nigdy nie zobaczę. Przed wyjściem ścieli łóżko, żebym nie przeleżał całego dnia w barłogu. To najmniej szkodliwy przejaw jej pedantyzmu. Tak naprawdę wiele więcej od niej nie oczekuję. Może jeszcze czasem posprzątać, wolę srać do czystej toalety.

Wraca wieczorami, udając sama przed sobą, że odpowiada jej takie życie. Że robi karierę, przepracowując się w imię ideału. Że to etap i na pewno, cudownym trafem, obudzi się któregoś dnia spokojna. Bez poczucia braku, za to z nadmiarem poczucia sensu. Wyimaginowaną misją rozcieńcza samotność.

Prowadzi szczątkowe życie towarzyskie, targana poczuciem winy, że i tak zostawia mnie na całe dni samego. Plecie pod nosem bzdury w guście: mój Ty biedny, taki samotny, jak mogłabym Cię znowu zostawić? Nonsens, nie wierzę jej, nie wierzę w ani jedno słowo. Jestem perfekcyjnym pretekstem do zagrzebania się w marazmie, modelowym wyrzutem sumienia, utkanym z osnowy lęku, wplecionej misternie w wątek apatii. Nie ma znaczenia, że milcząca obecność to moja jedyna zaleta.

Czasami wychodzi w weekendy. Lubię kiedy wraca nad ranem, kiedy mam całe łóżko tylko dla siebie. Niepotrzebnie próbuje cicho przekręcać klucz w zamku, budzi mnie najmniejszy szmer. Rzuca kurtkę na sofę i zapala lampkę przed lustrem. Unika swojego odbicia, speszona światłem wywlekającym na wierzch pierwsze oznaki starości. O piątej nad ranem zmarszczki zawsze wydają się głębsze, cienie pod oczami czarniejsze, a uśmiech wymuszony bardziej niż zwykle.

Wyczuwam zapach tych przypadkowych facetów, woń kwaśnego potu, wymieszanego z tanim alkoholem. Choćbym nie wiem ile siedziała pod prysznicem, cuchnie jeszcze przez kilka dni wstydem i udawaną rozkoszą. Nie jestem zazdrosny. Niech ją posuwają na tylnych siedzeniach audic, w publicznych toaletach, w bramach z zepsutym domofonem. Może ma coś wtedy z życia, a może tak się jej tylko wydaje. W zasadzie to bez znaczenia. Nic mi do tego, nie mój interes.

Nie pamiętam kiedy gdzie wyjechała. Ubzdurała sobie, że potrzebuję nieustannej opieki. Że nie dam rady przez kilka dni się sobą zająć. Że nikt inny nie będzie w stanie do mnie zajrzeć, dotrzymać mi towarzystwa. Dzięki temu może myśleć, że jest niezastąpiona. Idę o zakład, że to solidny filar jej poczucia własnej wartości.

Nigdy nie przyszło jej na myśl, że mogę pragnąć samotności. Wytchnienia od rutyny, odmierzanej czasem posiłków, wytyczanej przez cotygodniowe wizyty sprzątaczkę, wyznaczanej przez regularne telefony do tych, z którymi nie ma najmniejszej ochoty rozmawiać. Chciałbym uwolnić się od niej na kilka dni, od tej natrętnej obecności. Od cichych animozji, od wypromieniowywanych wyrzutów, nigdy nie wyrażanych wprost. Dalej nie jest w stanie zrozumieć, że i tak by mnie nie dotknęły, spłynęłyby po mnie i wsiąknęły w dywan, wydeptany w jednym tylko miejscu, pod parapetem, gdzie wieczorami przystaje, gapiąc się na ten sam widok, który jest moją jedyną rozrywką. Funkcjonując zbyt długo w tak małej przestrzeni, wrosłiśmy w siebie, jednocześnie obojętniejąc.

W czwartek wróciła później niż zwykle. Otwierając drzwi, wpuściła do domu niepokój. Rozgościł się bez ceregieli, wypełnił zakamarki mieszkania. Zwykle czekać aż pierwsza się do mnie odezwie, jednak tym razem podszedłem do krzesła, na które zwała się ciężko, rozsypując po podłodze siatki z zakupami. Siedziała bez ruchu i milczała, wybiegając spojrzeniem daleko poza nasze lokum. Trwałem nieustępliwie w milczeniu, spodziewając się słowa wyjaśnienia. Jej stany emocjonalne wyczuwałem na kilometr, nie była w stanie niczego przede mną ukryć. Przez nakładane przez nią maski patrzyłem zawsze jak przez pryzmat, jak przez szkło powiększające. Im bardziej starała się coś zatuszować, tym wyraźniejsze się to stawało.

Z wieczornej drzemki wybudził mnie dźwięk telefonu. Odebrała zmienionym głosem, że ściśniętego gardła z trudem wypełzały dźwięki. Nie mam pojęcia kto był po drugiej stronie słuchawki, z nudów zacząłem przysłuchiwać się dyskusji. Początkowe onomatopeje ustąpiły miejsca werbalnej woltyżerce. Stawała na rzęsach żeby przekonać rozmówcę, że najnowsze osiągnięcia medycyny dają jakąś nadzieję, że jeszcze nie wszystko stracone. Że zostało trochę czasu, a w Niemczech jeden ośro-

dek prowadzi pionierskie badania na ochotnikach. Program objęty patronatem potentata farmaceutycznego, można się zgłosić jeszcze w tym kwartale. Może bioenergoterapia, pod Wałbrzychem jest jeden znachor. Albo zioła i restrykcyjna dieta. A tak naprawdę wynik nie jest do końca jednoznaczny. Pominęła tylko modły na Jasnej Górze. Może limit cudów dawno temu wyczerpał Potop Szwedzki. Natrętnie wtrącała co chwilę: Nie, nie przyjeżdżaj. To niemożliwe. Kto lata w środku zarazy przez Atlantyk?

Skończyła rozmowę, urywając wątek w pół zdania. Jakby zabrakło jej sił na ostatnią prostą. Jakby przestało zależeć jej na zwycięstwie. Bezsilność wpełzła jej na ramiona, zrezygnowanie objęło skronie. Jednak nie wyglądała żałośnie. Udało jej się zachować resztkę dumy, kapitulowała na własnych zasadach.

Wiedziałem, że to nastąpi, wiedziałem, że się rozplacze. Wahałem się czy do niej podejść, czy zaszyć gdzieś w kącie i udawać, że zniknąłem. Nie byłem w stanie niczego dla niej zrobić. Marny ze mnie pocieszyciel. Fatalnie mi idzie z myśleniem abstrakcyjnym i wybieganiem myślami w przyszłość. Nie umiem planować, nie rozważam hipotetycznych scenariuszy. Nie rozumiem uczuć wyższych. Sam fakt istnienia jest dla mnie wystarczający.

Siedziała na sofie szlochając w głos. Wyrzucała z siebie słowa pełne skargi, czasem patrzyła na mnie powtarzając machinalnie: Stefan, kto się tobą teraz zajmie, co z tobą będzie? To było ponad moje siły, nie mogłem tego dłużej słuchać. Podszedłem do okna, wskoczyłem na kaloryfer, wyciągnąłem się jak długi i zacząłem wylizywać nagrzewające się futerko.

POEZJA kat. „A”
dorośli

I Miejsce: Małgorzata Borzeszkowska (Lębork)
godło: KARMANIOLA

WRÓBLE

twierdzisz, że jestem nieczuła,
a ja przecież kocham wróble - szaro-brązowe kulki piór,
tańczące w deszczu miotełki,
rozświergotane fruujące skrzaty w kubraczkach z pierza
kocham wróble
ciekawskie, jednym okiem obserwujące mnie
zza firanki z cierni,
z drugim figlarnie zmrużonym, jak ptasie pin-up girls
w pończochach tkanych z dżdżu

ile dobrych uczynków powinnam spełnić,
by w kolejnym życiu przysiąc na twoim parapecie
albo zamieszkać w tamtym krzaku czarnego bzu?

i od czego by tu zacząć?

MIŁOŚĆ NIE RDZEWIEJE

miłości starych ludzi nie rdzewieją
one utleniają się inaczej wraz z pożółkłymi kartkami i pamięcią
bledną i kruszeją
stare miłości nie rdzewieją -
pokrywają się śnieżką jak miedziane dachy nad głowami

z zaśniedziałych blach i drzew których nie przesadzono
starość buduje statek latającego Holendra
na którym pokutują duchy upiornych narzeczonych
na śmierć zakażonych młodością

stare miłości starych ludzi czasem wschodzą jak trawa
w pęknięciach chodnika
nieśmiało do pierwszego
ataku realizmu
z poważnymi komplikacjami kardiologicznymi
i ubytkiem chlorofilu

ZACHWYTY

są w nas ciągle pierwsze zachwyty, ukryte pod poduszką
i w pamięci,
jak cukierki, które chowamy na później,
czasem odwijamy z papierków, wkładamy na chwilę do ust,
by potem znów odłożyć

twój zachwyty to wysokie świerki pokryte śniegiem,
zapach mroźnego lasu, szklanej ziemi i blask bieli na pniach drzew

mój zachwyty to aromat ziół nad brzegiem Brdy,
zielony zapach wody i spróchniałe deski pomostu, drewniane wiosła

jesteśmy właśnie po to, by mieszać zapachy i barwy,
łączyć niepołączalne, w łapacz snów chwytać nowe, wspólne i podzielne
jak pudrowe pastylki albo kubek herbaty
na dwoje

II Miejsce: Jerzy Fryckowski (Dębica Kaszubska)
godło: SPOTKANIE

MÓJ OJCIEC STATYSTA

Pamiętam pierwsze święta po wylądowaniu człowieka na księżycu
święty Mikołaj wydawał się być bliżej ze swoimi reniferami
mojej matce nie udało się kupić wyznaczonych reglamentacją czterech pomarańczy
choć opanowała do perfekcji udawanie ciąży i noszenia mnie na rękach
zdradziły ją najpiękniejsze nogi w okolicy

Na wigilię zamiast niespodziewanego gościa
zabrakło nam ojca który kolejny raz statystował w filmie
i przywdziewał mroczny mundur gestapowca
koledzy z podwórka i klasy jeszcze długo po premierze
wyzywali mnie od faszystów i folksdojczów
a siostrę przynajmniej raz w tygodniu strzygli nożyczkami do gołej skóry
Na stole brakowało też karpia
oficjalna wersja była taka że nikt nie miał odwagi go zabić
Opiliśmy się kompotem
Na uszka poszeptaliśmy marzenia na rok przyszły

Ojciec przyszedł z orszakiem Trzech Króli
nie miał umazanej twarzy ani rąk skaleczonych bursztynem
wiedział że boję się ciemności wziął mnie za rękę i powiedział:
synu
zarobiłem dwieście złotych i ocierałem się o gwiazdy

Opału starczyło nam do wiosny.

RÓŻE POETÓW

Sztampowe i bez kolców w drodze na dworzec lądują w koszach
poeta oszczędza im bólu przemijania
dalekich podróży bez miejsca do siedzenia
neonów w zimnych kolorach reklamujących dania z Koranu
pragnienia kropli wody gdy toalety w TLK nieczynne

Pozostawione na parapetach dworca
przyciągają wzrok tamtejszych sprzątaczek
które przytulają się do nich jak do mężczyzny
i niosą do domu niczym goździk z ósmego marca
ze słusznie minionej epoki

Czasem zakwitną w dłoniach szatniarki
zmęczonej czuwaniem nad zgarbionymi paltami
przyniosą zapach pierwszej randki
z czasów gdy tylko kwiaty nie były na kartki

Róże poetów coraz częściej wędną na cmentarzach
przytulone do metalu tabliczek skałeczonych covidem
które identyfikują kumpli po piórze i kuflu

Dla coraz liczniejszych ubierają się w szron
bo wiedzą że po ostatnim spotkaniu autorskim
muszą doczekać Wigilii.

CO TY WE MNIE WIDZIAŁAŚ ?

Stawiam to pytanie fioletowym szklankom
pełnym moich odbić en face
rozcieńczanych łzami trójmiejskich cmentarzy

Dmuchałam w menisk wypukły by na twarzy przybyło zmarszczek
po białych śladach twoich palców które rysowały
na mojej skórze litery odbitych neonów
bezczelnie zagląających nam do okna powiatowych hoteli

Już się nie potykasz o bukiety
nie wróżymy z rozrzuconej bielizny pogody na nadchodzące lato
nie ubrajasz się w kalendarze
i nie bijesz na odlew imionami dzieci
które poczęte na białej górze usypanego piasku
wypływają nam spod powiek
i wsiąkają w opłatek gdy stoimy plecami do choinki.

**III Miejsce: Marzenna Lewandowska (Bydgoszcz),
godło: Aronsohn**

LIST DO MOJSZE

Bromberg-Brahnau D.A.G. Lager 15, 20 sierpnia 1944 r.

Tamtej nocy
pośród zrównanej z ziemią ciszy za kirkutem
śmierć świętowała Jom Kipur

nagle wszystko stało się bardziej:
strach
naszpikowany ciasno krzykiem i hukiem strzałów
znękanе niebo nad Gdańską
księżyc jak krwawa mezuz

od esesmańskich razów wyrosły mi nagie skrzydła

pofrunęłam
niepowrotem na przestrzał

nie wysłuchasz ze mną Szewa Brachot pod chupą
nie rozkruszysz ślubnego kielicha

nie powieszysz do cheder jichud

wybacz

Miriam

REKLAMÓWKI SKRZYDLATE

Odkąd istnieją kamery
śmierć przestała być aż tak bezpowrotna
i życie jest jakby mniej nadrzędne odkąd samica człowieka
po raz pierwszy udusiła młode

chrzęst folii supłanej na mrozie zagłusza krzyk noworodka

jak bardzo jesteśmy na obraz i podobieństwo
jak niewiele

z kosza na śmieci za peronem piątym
wystają anielskie skrzydła

ZA PLECAMI PANDEMII
Śmierć małej Amal w Ar-Rakka

Zamilkł
krzyk niedoroślej Amal
zdławiony na wznak

ciemność

jakby ktoś słońce zestrzelił

jak gdyby
oniemiało
wykrwawiło się niebo

tylko na bruku ulicy
przeżażona sukienka
i niezagojony warkocz

Wyróżnienie: Czesław Markiewicz (Zielona Góra)
godło: Prospero

OMNIPOTENTIA

wszystkie nogi prowadzą do lasu. gałęzie zostały
rzucone. drzewa wyszły z domu. przekroczyły strumień
jak próg rubikonu. zostały karpy. martwe pnie
bez tlenu. oświecone próchnem. powalone siłą koron –

ptaki bez gniazd błędzą po pustkowiu. ocalałe
nie wracają z ciepłych krajów. odchodzą na obczyźnie
tutejsze bociany. nie dziobią kruki. na skrajach granic
coraz głośniejsze wrony –

placzą wierzby. drżą osiki. zdziczałe dziki buchtują
na widoku. daniela klękają pod ambonami. krwawią
postrzelone każącymi słowami. pozostałe przy życiu
unikają ludzi jak pożogi. nawałnicy. plagi –

wyszła wilgoć. pogasły promienie. las mści się
spełnioną przestrogą. rozkorzenia miasta. nicuje
kalenice. miażdży karoserie. omija znaki postoju –

człowiek ulega nie zapisanej w księgach rozumnej
naturze. niepoliczalnej. niezmierzonej. wędnie
ze wzrokiem wbitym jak sztylet w klif własnego grobu –

HRABAL MI OPOWIEDZIAŁ

para gołębi wije gniazdo na balustradzie
balkonu. wykluwają się młode. matka uczy latać
nieloty. wypycha pierworodne z pierwszego piętra
strachu. pisklę pikuje w przybłokowe forsycje. nie
przekazuje znaków niepokoju. odchodzi ofiarowane
grawitacji. drugie koszącym lotem zrywa więzy. nad
osiedlowym betonem podrywa się do życia. znika bez
pożegnania pod łukiem horyzontalnego błękitu –

para w osamotnionym cyklu kontempluje pustkę
na satelitarnej czaszy. zrywa się ludzkie połączenie
z kosmosem. po ostatnich wiadomościach z nieistniejącego
świata do pokoju powraca jak kazanie św. franciszka
zapoznana mowa ptaków –

cichy tupot. trajkot skrzydeł. po każdym zamachu
rozsuwają się na cztery strony sypialne mury pokoju. ptaki
przejmują wszelką ulotność ludzkiego rozgardiaszu –

otwarte okno wypełniają wygłodniałe idee. na całej polaci
wylęgają się wszystkie symbole odlatującego świata –

MEDYTACJE HERAKLITOWE

siedzę po turecku na ludzkim pustkowiu. szum
wody dogaduje się z wiatrem. słowa więzną
w gardle. rdzenna cisza zagłusza odgłosy z wieży
babel.

gdy zamykam oczy widzę dno rzeki. na powierzchni
własne odbicie. z ruchu warg czytam że moczenie nóg
w strumieniu skraca drogę do celu. jakby bogowie patrzyli
w lustro. budda jest ślepy. jachwe jest myślą. allach ma
zasłoniętą twarz. mój bóg jest osobisty. ma rysy
starca z sąsiedniej klatki schodowej.

strumień wpływa w wielojęzyczną samotność. tracę wiarę
we wszech płynięcie. moje życie jest bezodpływowym
jeziorem. zostanie wyschły lej po wybuchu
namiętności.

wracam do porzeczonych poręczy ostatniego piętra
udomowienia. na frontowej ścianie ktoś wykaligrafował
w obcym języku codzienne wspinanie po schodach ułatwia
wejście na szczyt góry karmel. albo strumień przebił się
przez mur tutejszego krzyku.

Wyróżnienie: Mariusz S. Kusion (Kraków)
godło Borgis

SKRÓT MYŚLOWY

wzrok wbity w rozbitą szybę
rani palce po samo dzieciństwo
nie zabijam czasu zrobił to sam

słysząc gdy pękają okna z widokiem
na przekroczone normy – zobacz
jak życie pluje w żywe oczy

ktos rozmnaża pytania in vitro kradnie
przelotne sukcesy nawet tępy wzrok
odbity w ostrej szybie

to tylko artystyczna wizualizacja
pomiędzy reklamami w pół zdania
chałtury i granty ciągle uczą pokory

VHS

żadna praca nie hańbi
jeżeli skupisz się na plusach
życie nie wyjdzie rozmazane
jak na przypadkowej stopklatce

kiedyś byłaś moim superego
teraz odnajduję cię w spamie
między fazami pogłębiania zaufania
nie przeżyłem scen ze zwiastuna

może dobrze bo wszystko może się zdarzyć
na przykład kara więzienia za występ w filmie
to fakt autentyczny samoocena chwyta ostrość
pomiędzy podmiotami i orzeczeniami sądu

przewijam problemy na podglądzie
plączą się kabalistyczne zeznania
laleczki Barbie i VooDoo szepczą
jak żyć w tym gorzkim dolce vita

FAKT AUTENTYCZNY ?

po konkursie jednego wieszca
facet w koszulce z napisem
Nie wierzę w podmiot liryczny
gratuluje mi wiersza o czerwcu
nigdy nie napisałem nic o czerwcu

ale wyjaśniam dlaczego akurat czerwiec
bardziej inspirowa niż maj

POEZJA kat. „B”
młodzież (12-18 lat)

I Miejsce: Weronika Drewniak (Kraków)
godło: ELEANOR RIGBY

ANIA W AMERYCE

czasami nie dostrzegamy
prawdziwej natury niektórych ludzi
oceniamy ich
patrząc przez półprzeźroczystą zasłonę
nawet o tym nie wiedząc
że oceniamy

na jeziorze z jodeł
pływała łódką z łeków
mówiła mi że chce lecieć do Ameryki
ale musiałaby być tam
sama
i dlatego się boi

widziałam ten lot
był zygzakowaty jak plan podróży
na bilecie
jak wzór klepek
na podłodze wydawało się jej
że kiedyś już tam była
jakby siedziała opuszczona przez deszcz
w kawiarni Central Park
i bała się
że wszystko się skończy
że wszystko przeminie

czuła się wtedy jak ja
w pułapce tramwajów
w Warszawie

otoczona wagonami prawdy
byłam pośrodku wszędzie
tory i ulice tramwaje
jeździły wokół mnie
były szybsze niż czas

podarła bilet i obudziła się
ja wciąż tkwiłam w tym śnie
próbując coś dostrzec
odsuwamy zasłonę
przez którą inni nas widzą

21 marca 2021

KING'S CROSS

jeśli potrzebujesz szpitalnych duchów to
przejdź przez ścianę żaluzji i
podnieś ręce do góry
wtedy usłyszysz jak
zamknięty sierpowy
mamrocze twoimi kolanami

wreszcie zrozumiesz ranę przepowiedni

ostatnia ciotka była blisko zbioru słów
błyszczących zielonych
gdy zniknęła pod stołem
okrągłym marmurowym
zanurkowała jak budzik tańczący

we śnie na schodach

jeśli musisz się obudzić
trzeba ogół prawdy wywalić
w nie-siedem stron milczenia
i obojętności dnia
w momencie kiedy
ostatni ostateczny sąd sądzę
chłodno jakby
kiedykolwiek ktokolwiek
spokojnie poszedł do Wiecznej Ciepłarni

- Mam strzelić? – zapytał biały gołąb siadając na barierce

1 lipca 2020

PRZECIW POETOM

nie lubię tych wszystkich młodych poetów
ze Stalowej Woli
używających kolokwializmów grubych
i w okularach z pryszczami
na białej twarzy wierszy i na rękach
ubranych w pomarańczowe
sweterki rymów
(to będzie najbardziej „INSULTING”!)
za dużo konkursów wygrywają
w przeciwieństwie do poetów
z Żelazowej Woli

2 lipca 2020

II Miejsce: Zuzanna Kopczyńska (Łódź)
godło: ZUZA 1

ŻYCIE JEST DAREM

Zapakowanym w pudełku
wyjętym z ciała kobiety.
Kruczym, porcelanowo-szklanym istnieniem,
gorzko-słodkim cukierkiem.
Lekkim piórkiem Ikara
spadającym z hukiem
na piach.
Uniesionym, oplecionym, soczystym
Żdźbłem trawy,
skoszonym sianem.
Rzepą na glebie z czarnoziemiu.
Dmuchańcem na wietrze.
Świecą z rozpalonym płomieniem,
woskiem z wypalonym knotem.
Arią operową
fałszywym dźwiękiem.
Westchnieniem, milczeniem.

Wszyscy jesteśmy czyimiś dziećmi.
Odbiorcami kruchej przesyłki.
Spieszmy się z otwarciem,
Kurier nie lubi czekać.

ZESZCZUPLAŁAŚ

Zeszczupiałaś kochana
wyrzeźbiona przez dłuto,
trzymane w dłoni smutku.
Poblądle twe lico
rozmyte na wietrze.
Posmutniałaś, moja jedyna,
namalowana przez pędzel
trzymany w dłoni zamiast żonkila.
Wśród motyli zmarszczek,
cienie ómy zakryły
puszczone nocą ciemną
po drodze mlecznej.
Lecą do gasnącego światła.

STAROŚĆ

W albumie starym
czarno-biały slajd
migawek z życia.
Uchwycony młodości blask.
Na pożółkłym papierze
minionych lat.
Został wspomnień żar,
gładzony starymi dłońmi.
Małymi krokami,
powoli z daleka
zbliża się pocziwa, starsza pani
z koszykiem złotej jesieni życia.
Zapakowane puzderka
ze zmarszczek,
siwych włosów,
niedołęstwa, chorób
samotności i zmęczenia...
Pełno w koszyku
nieudanych, smutnych,
szarych odcieni obojętności ...
Poszerzonych kręgiem samotności ..
Brakuje zwyczajnej bliskości.
Gestów, słów, uśmiechów,
dobrego słowa.
Starsza pani z demencją,
zapomniała zapakować ...
Każdy z nas kiedyś,
Otrzyma leksykon starości.
Nie wiedząc
z jaką treścią

III Miejsce: Emilia Późniak (Robakowo)
godło: EMIPOZ

1

Obudziłam się z nowym spojrzeniem
jednak szybko zauważyłam
że wszystko jest dokładnie takie
jakie było.

Zapytałam słońca,
jak śmie kopiować wczorajszy poranek,
dlaczego wstaje z tej samej strony
co wczoraj?

Z każdym dniem coraz bardziej
zadziwia mnie odpowiedź.
Coraz bardziej zadziwia mnie
Milczenie.

Oskarżyłam ten
i milion innych wschodów słońca
o plagiat.

A one jak na złość
powtarzają się
coraz dokładniej.

Moja ulubiona zakładka
To zwiędłe, estetycznie ususzone kwiaty polne
Włożone do ciężkiej książki pomagają mi
Udźwignąć jej treść
Dodają lekkości
Jakbym nie zbierała kwiatów z łąki
Tylko promienie słońca.

Promienie słońca mocno uderzyły mnie w twarz,
I nagle jakimś cudem
Jezioro stało się dla mnie niebem
O złym kolorze.
Gołębie aniołami w mniej oczywistej formie.
Wróciłam do parku wspomnień
A tak długo ukrywałam go w pamięci.

Wyróżnienie: Dominika Piotrowska (Wroniawy)
godło: MIKOTO

MONOLOG MARZENIA

ludzie
trzymają broń w białych rękawiczkach
z niewymuszonym uśmiechem na ustach
czuję na skórze ich ręce
choć nikt mnie nie chce dotknąć
mówią, mówią i mówią
ja nie słyszę słów
tylko żądze
kiedyś widziałem ich w snach
(a śniłam przez całe dzieciństwo)
jak ludzkie życie lotem ptaka
wzbiło się w Niebo
zamieniając w coś strasznego
- lodowatą ambicję
jest mi już wszystko jedno

AMBITNI

szczerym szeptem przyszłość piszemy
na kartach kroniki
z odwagą i rozmachem
snując plany
z których śmieje się Bóg
w drodze do celu
uwierają
dokuczliwie zepsute charaktery
naprawiane przez nas na własną rękę
i własnymi siłami

Wyróżnienie: Wiktoria Pytlarz (Pila)
godło: RÓŻA 1

PRZEZNACZENIE

Odłamki szkła
stłuczone poprzez
rzut słowem
na obronę swoich racji.

Zamknięcie oczu
rzutuje obraz przyszłości
wyśniewanej, lecz nieznannej,
nieprawdziwej.

Bycie wczoraj
dziś i jutro
każdego dnia
w trwaniu życia.

Brniesz w przyszłość
tworzysz realia i fikcje
budujesz siebie
cofasz się i robisz krok.

Nieznacząca kłótnia
wymiana zdań
kreuje ciebie
dając tyle samo ile tracisz.

Nie wiesz kiedy
ani dokąd
wymyka się / wartość ludzka.

PRZEZROCZYSTA FOLIA

Ledwie widoczny błysk światła,
zwyczajne opadanie powiek.
Szukanie odpowiedzi,
głuche szepty i stłumione kroki.
Głębokie pragnienie
odkrycia prawdy.

Nieustanne kręcenie
wokół tworzącej się historii.
Dotyk zatrzymany na skórze,
A doznania koją rany.

Pozostałości stąpania
po ludzkich sercach.
Nieodwracalne z wczoraj
choć dziś nowe.

Zwyczajność słów,
niby uścisk dłoni.
W obłokach zranień
w słonecznych ukojeniach
zgniatam odłamki przeszłości
i oczekuję ciepła
twoich ramion.

SZKŁO

Nieliczne znaki,
podarte karty z damą pik.
Wzrok utkwiony w podłogę
zasłania rzeczywistość.

Wczoraj, dziś, jutro

Niezmiennie pamięć zagłada wstecz.
Dźwięk tłuczonego lustra
rozprasza myśli.
Łamliwe czyny, puste słowa.
Pojedyncza łza zabiera zmartwienie,
dodaje sił.

Tworzę obraz lepszego ja.

PROZA kat. „B”
młodzież (12-18 lat)

I Miejsce: Marta Staniczek (Tychy)
godło: IMBIR

DZIADEK *HONORIS CAUSA*

To nie jest historia dla ludzi o słabych nerwach.

Nie jest to również historia, którą mogłabym opowiadać ot, tak – swobodnie, w pełnym poczuciu bezpieczeństwa. Bądź co bądź, dotyczy przecież kradzieży...

Ale są takie sprawy z przeszłości, z którymi trzeba się kiedyś rozliczyć.

A złodziejem był mój dziadek.

*

Tak prawdę mówiąc, dziadek Tomek nie należał do rodu Tobołków. Był tylko przyjacielem rodziny, ale tak bliskim, że pokolenie mojego rodzeństwa w końcu postanowiło go adoptować jako trzeciego dziadka. Sam zainteresowany śmiał się zresztą, że otrzymał tytuł dziadka honoris causa.

O jego życiu krążyło legend tyle samo co plotek, a plotek tyle samo co najprawdziwszych na świecie opowieści. Nigdy nie mieściło mi się w głowie, jak w jednej biografii można zmieścić żeglarstwo, konstrukcję maszyn i wojnę podjazdową z uniwersytetem, na którym się zresztą wyklada. Toż to istny czarodziej!

I tak też na niego patrzyli, kiedy po ciężkich bojach postanowił złożyć broń i, niczym stary lew, osiadł w swojej siedzibie na Czarciej Górcie. Od samego początku wiadomo było, że tak nietypowa osobistość wprowadzi zamęt w życie wybitnie typowych mieszkańców Górki. Tworzyli oni zamkniętą społeczność, odgradzoną od świata murem natury nie tylko fizycznej. Nieufnie przyglądali się wszystkiemu, za co zabierał się dziadek, a już to, że z upodobaniem zapraszał gości z zewnątrz, traktowali jako czyn szczególnie domagający się kary Boskiej.

Co nieco o tym wiem, bo tymi gośćmi z zewnątrz – obok Kubańczyków, Rosjan z Paryża i byłego generała – często byliśmy my. Każdego roku w sezonie grillowym odbywał się Sabat na Czarciej Górcie, który trwał od trzech do siedmiu dni. W tym czasie dorośli cieszyli się własnym towarzystwem oraz jadłem, a my (czyli rodzeństwo i Janek – bardziej oficjalny wnuk dziadka) sialiśmy postrach wśród sąsiadów.

I w takich mniej-więcej okolicznościach rozegrała się ta kryminalno-dramatyczna opowieść.

*

Ledwo weszliśmy do przedpokoju, rozległ się dzwonek przy bramie. Słyszając go, dziadek w zdumieniu uniósł krzaczaste brwi i zerknął przez okno.

- O! – w jego głębokim basie pojawiły się radosne tony – Sąsiad! Ciekawe, co też go sprowadza...

Z jakiegoś powodu pomyślałam, że sąsiad jest teraz na straconej pozycji. Dziadek ruszył ku bramie, a ja cichutko stanęłam przy drzwiach z zamiarem bezczelnego podglądania.

- Pan ukradł kota – to były pierwsze słowa sąsiada, który okazał się łysawym mężczyzną w średnim wieku.

- Taaak? Nic mi o tym nie wiadomo – zdziwił się dziadek. – Ale proszę do środka, nie będziemy przecież rozmawiali przez bramę!

Łysawy zrobił taką minę, jakby ktoś zaproponował mu wejście do piekła.

- Mi tam brama nie przeszkadza – prychnął wyniośle. – Biorę kota i wracam do siebie.

- Ależ proszę bardzo – odparł dziadek ze stoickim spokojem.

Wszyscy, którzy obserwowali tę scenę, mieli teraz wyborną zabawę. Sąsiad postawił przed sobą dwa niezwykle trudne zadania, to jest: zabranie kota i nieprzechodzenie przez bramę. Po krótkiej wewnętrznej walce zrezygnował jednak z tego drugiego i z wysoko zadartym nosem wkroczył na teren wroga. Potem nastąpiło nerwowe przeszukiwanie dziadkowej działki, a w końcu też domu, które jednak zakończyło się niepowodzeniem. Łysawy z kwaśną miną przeszedł między szpalerem domowników i gości, zatrzymując się jednak przy gospodarzu, żeby wycedzić:

- To panu nie ujdzie na sucho. Nie wiem, gdzie pan schował tego kocura, ale zapewniam pana: policja go znajdzie!

- Nie wątpię. Nasze służby są bardzo profesjonalne – odparł dziadek, i nawet cień uśmiechu nie zmącił jego poważnego oblicza. – Wyciągną go choćby z toalety.

Sąsiad wyszedł bez słowa.

Długo odprowadzaliśmy go wzrokiem. Wystarczająco długo, żeby zobaczyć, jak z przeciwnej strony ulicy dumnie nadchodzi puchaty czarny kot. Zwierzę przecisnęło się pod bramą i jak gdyby nigdy nic podreptało po schodkach prosto pod nasze nogi, gdzie na dobitkę zaczęło łaścić się do stóp babci Meli.

- No, to jest właśnie kot sąsiada – oznajmiła babcia, kiedy zszokowani przyglądaliśmy się puchatemu stworzeniu.

- Ten, którego ukradliście? – zapytałam dla pewności.

- Tak, właśnie ten.

*

Tego popołudnia bardzo długo rozmawialiśmy o Midasie – bo tak ochrzcił kota Janek – i sprawa zaczęła się wreszcie wyjaśniać. Sąsiedzi wzięli go sobie kilka dni temu, ale najwidoczniej nowy dom nie przypadł zwierzęciu do gustu. Przy każdej okazji uciekał, a że z niewiadomych przyczyn wybrał sobie dziadka Tomka i babcię Melę na wybawicieli – no to już nie jest ich wina. Stało na tym, że Midas od czasu do czasu zachodził na ich działkę, gdzie dostawał jedzenie i wodę, czasem bawił się z Jankiem i mógł wygodnie spać pod balkonem. Nikt nie zamierzał przetrzymywać go siłą, ale sąsiedzi mieli własne zdanie na ten temat.

- Czy oni naprawdę wezwą policję? – zapytała z lękiem Malina, jedną ręką już podając kotu szynkę z kanapki.

- Licho wie – odpowiedział jej Janek. – Oni to nawet demony by wzywali, żeby tylko nam dokuczyć!

I co prawda następnego dnia, wbrew przepowiedniom Janka, nie pojawiły się demony, ale za to przyjechał policyjny samochód i pod bramą stanęli dwaj mężczyźni w niebieskich mundurach. Z zupełnie niewinnych przyczyn znajdowałam się wtedy w pobliżu, dlatego całą sytuację widziałam i słyszałam bardzo wyraźnie.

- Podobno ukradł pan kota – powiedział policjant o posturze niedźwiedzia.

- Ja też słyszałem taką informację – dziadek uprzejmie skinął głową. – Ale jest ona nieprawdziwa.

- Nasze źródła mówią co innego – wtrącił się ten drugi, który przypominał lisa. – Nałożono na pana karę grzywny w wysokości pięćset złotych.

Kiedy usłyszałam kwotę, z wrażenia prawie odebrało mi dech. To było moje roczne kieszonkowe i nie wyobrażałam sobie, by ktoś mógł się lekką ręką pozbyć takich pieniędzy. Jednak dziadek miał niezmiennie ten sam uprzejmy wyraz twarzy i wszystko wskazywało na to, że grzecznie zapłaci. Już sięgał do kieszeni, gdy nagle jakby sobie o czymś przypomniał.

- A panowie wiedzą, że tu jest monitoring? – zapytał wesoło, wskazując przy tym kamerę. Rzeczywiście, wisiała sobie pod dachem, skierowana niemal idealnie na numery rejestracyjne auta oraz twarze wątpliwych już teraz policjantów.

Obaj zrobili wielkie oczy i jak na zawołanie zrobili w tył zwrot, a po kilku sekundach zostały po nich tylko ślady kół na drodze.

- Oszuści! - wykrzyknęłam w osłupieniu.

- Ano, oszuści – przyznał dziadek. – Masz może ochotę na kurczaka? Czuję, że grill już ładnie rozpalony...

*

Epilog nastąpił dwa dni później, kiedy po raz drugi pod dziadkową bramę zajechał radiowóz. Tym razem jednak wysiedli z niego o wiele lepiej wyglądający policjanci, którzy w dodatku przyjechali w zupełnie pokojowych zamiarach.

- Łapiemy dwóch oszustów, którzy wyludzali pieniądze przebrani za policję – poinformował dziadka ten wyższy – Podobno byli też tutaj.

- Zgadza się, byli dwa dni temu – dziadek skinął głową.

- Czy może nam pan udzielić więcej informacji?

No ba! Prawdopodobnie mundurowi nie spodziewali się, że od miłego starszego pana dostaną numery rejestracyjne oraz nagrania z kamery, na których widać było twarze oszustów jak na zdjęciu do dokumentów. Wychodzili z domu wyraźnie pod wrażeniem, bo kiedy Malina pomachała im na do widzenia, ten młodszy zagadnął:

- To twój dziadek? Bardzo mądry człowiek!

Na twarzy mojej siostry pojawił się dumny uśmiech użytkownika łaciny, kiedy kiwała głową.

- Tak, proszę pana. Dziadek *honoris causa*.

II Miejsce: Anastazja Klufczyńska (Bydgoszcz)
godło: ANANAS

RYSA

Impulsywnie i niespodziewanie unoszę głowę znad książki. Gęsta czcionka przestaje mnie interesować, gdy dostrzegam naganną rysę bezczeszczącą gładką taflę lustra zawieszzonego nad marmurowym kominkiem, pomiędzy obrazami. Patrząc na nią, jednocześnie widzę samą siebie. Nazbyt wyraźne, wybałuszone oczy zezują na szramę. Są jak granatowe kamyczki leżące na jasnym piasku plaży (lubię tak o nich myśleć, choćby po to, by uważać się za piękność) – moje blade liczko rumieni się w napływie wspomnień, jednak kazi je ta nieproszona rysa.

- Skąd się wzięła, u licha? – zastanawiam się, marszcząc brwi – czuję, że pomiędzy nimi tworzy się nieznośna lwia zmarszczka, z której tak chętnie żartuje mój mąż (sam nie ma ani jednej) – Rysy nie było tu od zawsze. Och na pewno nie, moja matka nie pozwoliłaby na najmniejszy błąd, niedociągnięcie w reprezentacyjnym pokoju domu. Jakbym mogła nie zwrócić na nią uwagi wcześniej? Mam wrażenie, że nagle wprowadza w całe moje życie bezgraniczny chaos.

Być może jej pojawienie się ma znacznie ciekawszą historię. Być może ktoś ze służby w ogromnym znużeniu skrzywdził lustro podczas jego nocnego czyszczenia? Splugawił je przetarciem metalowej faktury zegarka na nadgarstku? Skaził je ostrym okruczem pozostałym na ścierce? Z impertynencją i złością za zbyt niskie zarobki nieostrożnie, lecz specjalnie pozostawił po sobie ślad?

- Czy jesteśmy dla was skąpi? – pytam służącą, która schyla się, by poprawić opadającą w kominku kłodę.

Kobieta ze swoją wyuczoną uprzejmością odwraca się natychmiast i wlepia we mnie niespokojne spojrzenie wodnistych oczu. Jakby szukała haczyka w moim niespodziewanym pytaniu.

- Oczywiście, że nie. Skąd w ogóle taki pomysł, pani?

Protekcjonalnie zbywam jej zaniepokojenie machnięciem dłoni i udaję, że wracam do lektury. Nie mogę jednak skupić się na literach, wciąż zachodząc w głowę, jak rysa znalazła się na moim ulubionym lustrze. Jest niezwykle – to prezent od ojca dla mamy. Gdy jeszcze byli młodzi, świeżo po ślubie, zanurzeni w szale zakochania, kiedy niekończące się deklaracje miłości sekundowane są przez kosztowne podarki. Przepiękne, w złotej ramie ozdobionej misternie wykutymi latoroślami przypomina mi rodzicielską miłość, którą jako dziecko tak podziwiałam i do której, jako młoda panna dążyłam. A może to mój mąż, w pijanym szale postanowił uchybić

mojej pamiętce wyniesionej z rodzinnego domu? Czy przyszedł z karczmy tuż po zawodach jeździeckich, na których do jego boków uczeplone były młode, zdesperowane kobiety, wachlujące go sztucznie zagęszczonymi rzęsami i obsypujące garścią marnie dobranych, zapamiętanych z książek pochlebstw. Potem w karczmie pobił się z przyjaciółmi o spłatę zakładów – gniady, obiecujący koń znów zawiódł jego oczekiwania, jednak z uporem, tak często towarzyszącym przegranemu, odmawiał zapłaty. Następnie ukoił smutki w trunkach, których nazw, jako przyzwoita kobieta nawet nie znam. Szedł po chodnikach, w odpiętej kamizelce, potykając się o krawężniki ulic. W końcu dowlókl się do domu, agresywnie szarpiąc za klamkę wejściowych drzwi, zrzucił obłocone buty, gorsząc lokaja, gaszącego świece w holu. Wtoczył się do salonu, przewracając przemyślane skomponowane bukiety w kryształowych wazonach, szukał szklanki, albo nie, chwycił butelkę i nie racząc przelać alkoholu, wlał zawartość karafki wprost do gardła. Rozcierając posiniaczone knykcie, zbliżył się do lustra, w którym dojrzał opuchniętą, zaczerwioną twarz, pijacki uśmiech i zaczerwienione oczy. Z wściekłością zamierzył się na odbicie, jednak trunek odebrał mu siły i jedyne co udało mu się zrobić przed runięciem na czerwony dywan, to przejechać ojcowskim sygnetem po szklanej tafli.

Wzdrygam się, gdy z zamyślenia wybudza mnie młaśnięcie drzwi o białoną futrynę. Wszedł i on. Po moim mężu nie widać jednak ani śladu przypuszczalnej popijawy. Przeciwnie – okaz zdrowia z porannym uśmiechem, w nienagannym stroju wita mnie, podchodząc bliżej, by złożyć pocałunek na wierzchu mojej dłoni. Rozpoczynamy krótką i niezobowiązującą, acz nader przyjemną pogawędkę. Tradycyjne pytanie o sen kładzie kres dialogowi – możemy wrócić do własnych przemyśleń. Ja do lustra, on do stronicy najnowszej gazety. Zatem moja teoria nie znalazła potwierdzenia.

Co dalej? – myślę.

Moje podejrzania nie mogą spaść już na nikogo z domu. Może więc to tajemniczy gość postanowił zaznaczyć swoją obecność? Być może to zagubiony ptak, pozostawiony w czeluści nocy zauważył uchylone okno i postanowił, niby duch, zabawić w salonie, napędzając mi teraz stracha? Tak, to mały gil, mam go już w głowie, po całym dniu chwytania okruchów w parku zapragnął zasmakować innego życia. Wyrwać się spod skrzydeł stada i odkryć nieznanne. Zaplątany już w naszą, podobną do babiego lata firankę, poddał się materiałowi. Opadłszy na dywan podniósł swoje drobne ciało i zaczął się rozglądać, tocząc swymi czarnymi paciorkami po egzotyce pokoju. Zachwycony tym co widzi, postanowił lepiej zbadać te wszystkie dziwy. Kwiatowe drzewa w szklanych pokrowcach, owoce, zebrane już i ułożone starannie w lśniącej misie, bardziej okazałe niż te, które dostrzegał dotąd na mizerynych drzewach na przedmieściach. Wzniósł się z furkotem skrzydełek, by usiąść na

zaskakująco chłodnej gałęzi pod sufitem. Stamtąd rozprzestrzeniła się wspaniała panorama na to niebywale miejsce. Wtem jego ciekawska główka odwróciła się w stronę drugiego okna. Postanowił zobaczyć co jest za nim, jednak zbliżając się do obiektu ujrzał drugiego ptaka. Zaskoczony spotkaniem przysiadł na chropowatej pomarańczy pozostawionej na stole i poprawił piórka. Stworzonko za oknem zrobiło to samo. Wiedziony ciekawością podleciał bliżej, by osiąść na gzymsie kominka – i tym razem jego pobratymiec uczynił to samo. Postanowił ominąć tę dziwną iluzję, jednak zamiast znaleźć się w innym świecie, jego ciało napotkało opór. Dziwaczne okno, choć otwarte nie pozwalało się przekroczyć – zbliżając się do niego, w rzeczywistości jedynie się oddalał. Uparte łapki zaczęły skrobać powierzchnię, która okazała się zimna i płaska w dotyku. Zdezorientowane zwierzątko przestraszyło się, węsząc pułapkę i czym prędzej skierowało się do okna (tym razem właściwego), przez które się tu dostało. Przerażony ptaszek w popłochu ominął zasłonę, by opuścić osobliwy dom ludzi, w którym tyle rzeczy jest nie na miejscu.

- Kochanie?

Widać moja zamyślona postawa wzbudza podejrzenia.

Jestem zła, zła na własną nieudolność dedukcji – słabość umysłu. Wyrzucam ją sobie, słabość – nie umiem orzec co sprawiło tę rysę. Co skalało moją własność? Nie zniosę tej niepewności. Muszę zrzucić z siebie okrycie nieudolnego detektywa i ulżyć własnej dociekliwości w najprostszy sposób. Podchodzę do lustra, a moje nerwowe kroki wybrzmiewają, co prawda stłumione przez puszysty dywan. Chwytam się gzymsu kominka i wychylam, wspinając się na palcach. Mam to przed nosem – dosłownie – jestem tak blisko, że mogę policzyć własne piegi na policzkach. Zamiast tego odchyłam się i wybucham śmiechem. To nie przystoi, jestem tego świadoma – mama zawsze powtarzała, że jedynie cichutki chichot jest zarezerwowany dla szanowanych dam, a podobne wybuchy należą do rubasznych kobiet – ubranych w jaskrawe suknie – podających kufle w karczmach, do których przyjeżdżają mężczyźni wydający posagi córek w niekończących się partiach pokera. Nie mogę jednak zapanować nad rozbawieniem budzącym się, jak malutki kanarek (po tylu godzinach niepokoju i przypuszczeń) w mojej piersi. Ta rysa, skaza, która maltretowała moje myśli od tak dawna i dała początek historiom okazała się... włosom – mym własnym w dodatku.

III Miejsce: Weronika Łopacka (Międzyrzec Podlaski)

godło: RUDA

INRI

Włókna mojego ciała trzeszczały, kiedy przebijano je długimi igłami o cierzystych zakończeniach. Po finalnej serii kłuć w miejscu, gdzie twoja skóra różowiała zamiast cierpnąć, moja przypominała papier ścierny. Łuszczyła się i odpadała, jak naskórek kameleona. Z tym, że nigdy nie odrastała.

Nie chodziłeś owrzodzony ani zaropiały. Dbałeś o każdą skazę na ciele nawet pomroczony gorączką. Obsesyjnie zrywałeś rękawy ze wszystkich pasiastych szmat, a potem okręcałeś je wokół uszkodzonych partii ciała. Początkowo rozpruwałeś jedynie łachy człekokształtnych trucheł przesiąknięte trupim jadem, ale z czasem nauczyłeś się bezszelestnie strzępić materiał na żywych organizmach, tak że wkrótce cały barak chodził w kadłubach dawnych łachmanów.

W tamtym czasie, wujek Pepi cyklicznie przynosił nam ubranka, bo dobrze znał twoją słabość do tkanin. Jeszcze wtedy interesował się naszymi ciałami, więc bywał pobłażliwy dla twojego nowego zajęcia. Dzięki nim obydwaj mogliśmy liczyć na materialne przywileje, choć to tobie przysługiwały w większej części. Ja dostawałem resztki.

Zauważyłem, że zależy mu na twojej uwadze w chwilach, gdy gładził cię po szczeciniastej głowie albo sadzał na kolanach, albo zwabiał za blok. Uwielbiałeś go. Pragnąłeś jego względów, nawet jeśli skomlałeś, jak pies przez trutki, którymi cię faszerował. Nawet jeśli przywozili nas wólp przytomnych po ośmiogodzinnych oględzinach prosto spod jego igieł i lodowatych macek, myślami wracałeś do laboratorium. Do niego. Błąkałem się po twoim umyśle, wściekły, że wujaszek zajmuje każdy twój płat mózgowy, wtedy gdy ja przestałem w nich istnieć.

Wyparłeś mnie z siebie, tak jak wszystko to, co znaliśmy przed nim. Stał się dla Ciebie początkiem nowej ery, kiedy ja byłem już tylko prehistorią, niczym. Probówką do badań. Materiałem wojennym, który pakuje się w słoiki i odsyła w ręce takich samych, wynaturzonych wujaszków.

Obiecował, że zabierze cię do Niemiec, kolebki swojego fachu, gdzie zadba o twoją aryjską ewolucję, co jest przecież naturalną koniecznością każdego żydowskiego modelu anatomicznego. Nocami, gdy leżeliśmy przyłgnięci do siebie na pryczy, mówiliście że wkrótce zostanę sam, ale już wtedy, już na tej pryczy w wigilię two-

jego zniknięcia, byłem sam. Nie zauważyłbym twojej materialnej nieobecności.

Obmyśliliście sobie stacje twojej drogi krzyżowej. Najpierw zmiana barwy pryzmatu, przez który patrzyłeś na jego zatrute oblicze, a którego on nienawidził. Jednego dnia spał w całości kolor twoich tęczówek, tak że na ich dawnym miejscu pojawiły się dwie wypalone dziury. Wykańczał cię powoli. Niezauważalnie wyciskał z ciebie życie. Później okrzyknął cię królem żydowskim i odtąd tak kazał nazywać.

Inri, mówił, zrobię cię mesjaszem, nikt na tym bloku nie ośmieli się podważyć twojego tytułu. Będziesz decydował, kiedy jemy, śpimy i kiedy się modlimy.

Dzień później byłeś już w drodze na swoją Golgotę.

Nawet nie zauważyłeś, gdy skrępował ci kończyny i przywiązał do stołu, na którym jeszcze wczoraj dokarmiał zapadłe ciało. Kiedy eksponowałeś przed nim swoją, kartograficzną siatkę naczyń krwionośnych, pozwoliłeś na wybranie nurtu, z którego popłynę jadowne osocze. Dlatego, gdy przebił twoją pierś igłą przesączoną fenolem, a żadna z komór sercowych nie trysnęła biblijną wodą i krwią, odsunął się skrzywiony, jakby naprawdę wierzył w twój, który stworzył. Król Żydowski. Iesus Nazarenus Rex Iudaeorum. Inri od siedmiu boleści. Żydowski pomiot, któremu można wszczepić wszystko, co zalega w zakonserwowanych organizmach na dnie próbek laboratoryjnych. Materiał eksperymentalny do pełnego wykorzystania. Nawet na chwilę przed wyzwoleniem.

Był styczeń. Ostatnia zima wojny. Twoje zagarnięte fenolem ciało od kilku dni gniło w jednym z laboratoriów, rozgrzebane w połowie po niekompletnej sekcji. Większość wujaszków ewakuowała się przed tygodniem, pozostawiając wasze zelzałe padliny w stanie rozkładu, choć podobnie gniliście również za życia. Pechnąłem drzwi do jednego z rzędu pokojów w warsztacie wujka i zobaczyłem tam, na tym stole, wśród porzuconych skalpeli i lancetów, zobaczyłem siebie. Leżałem na wznak pomiędzy rozsypaną dokumentacją medyczną ze zbutwiałą wątrobą na wierzchu. Tuż obok, w rogu izby, dwóch sowieckich wybawicieli chlustało niestrawionymi resztkami jadła. Ich zaciśnięte żołądki pulsowały poprzez szczelnie opinające tułowia kożuchy. Z pewnością byłem przyczyną ich torsji, z pewnością widok ruskich kundli bryzgających na medyczną papierologię wujaszka wpędziłby go do grobu, a na to przecież liczyłem.

Leżałem taki, martwy, zjelczały, stęchły, dopóki lepkie palce nikogo nie zacisnęły się na mojej obumarłej dłoni. Wyteżyłem ostatnie, sprawne włókno wegetacji i rozpoznałem tam, tam przy tym, zgangrenowanym ciele w towarzystwie zachłyśniętych Rosjan, rozpoznałem siebie.

Nie wiedziałem, którym z nich jestem, ani które z tych ciał należało do mnie. Może byłem jedynie zawieszoną między dwoma istnieniami. Czymś, co je spajało i nie pozwoliło rozerwać.

Wyróżnienie: Maciej Karczewski (Zielona Góra)
godło: Hrabia

PODAROWANA

Pierwsze promienie słoneczne musnęły ściany willi pana Seweryna. Starzec gwałtownie się zbudził, po czym założył złote lenonki, bez których niestety nie widział wyraźnie i włożył stopy w ciepłe, domowe kapcie. Pomalutku wstał z łóżka i zaczął zmierzać w kierunku drzwi, spoglądając ze smutkiem na stare zdjęcie, przedstawiające piękną i młodą kobietę. Niedbałym ruchem otarł łzę, która spłynęła po jego policzku.

Otworzył drzwi i na eleganckiej, choć brudnej tapecie ujrzał krzyż. Choć był to jego dom, nie wiedział, po co krzyż wisi w tym miejscu. Przez całe swoje długie życie nie znalazł sensu, dla jakiego Bóg miałby istnieć. Nie dostał nigdy od niego żadnego znaku. Minąwszy krucyfiks, zszedł po schodach, by wejść prosto do kuchni.

Po chwili usłyszał dzwonek do drzwi. Gdy je otworzył, ujrzał młodą dziewczynę.

- Nazywam się Magdalena – powiedziała z uśmiechem.

- Co tu robisz? – spytał gburowato staruszek.

- Mam być pana opiekunką – odparła dziewczyna. – Wynajął mnie Grzegorz, pański bratanek.

- Nie prosiłem go o wynajęcie opiekunki! – powiedział zgorzkniale starzec, jednak, jako człowiek kulturalny, otworzył drzwi szerzej i dodał – Ale zapraszam do środka...

W głębi serca wiedział, że jego bratanek postąpił słusznie.

Rudowłosa dziewczyna o miłym spojrzeniu weszła do domu i automatycznie skierowała się do kuchni, ponieważ chciała zrobić podopiecznemu śniadanie.

- Co chciałby pan dziś zjeść na śniadanie? – zapytała z uśmiechem.

- Nie jadam śniadań, lecz możemy się przejść po ogrodzie – zaproponował starzec z wymuszonym uśmiechem.

- Dobrze, wedle życzenia – uśmiech dziewczyny był szczery.

Ogród był tego poranka smutny jak serce pana Seweryna. Wiosna się zaczęła, a mimo to w ogrodzie nie pojawił się jeszcze żaden pąk.

Seweryn i Magdalena wyszli do ogrodu. Starzec, początkowo niechętny, po jakimś czasie zaczął przyglądać się młodej kobiecie. Zaskoczony uświadomił sobie, że widzi w tej dziewczynie obraz wspomnienia z młodości, zanim zaczęła się wojna,

zanim stracił bliskich, zanim został sam... Coś w jej oczach i ruchach wydało mu się znajome.

- Mógłby Pan mi może opowiedzieć coś o swoim życiu? – zapytała nagle Magdalena.

Seweryn był bardzo zgorzkniały i odtrącał pomoc innych, lecz – nie wiedząc czemu – postanowił wyjawić wszystkie swoje tajemnice poznanej dziewczynie. Sam nie do końca rozumiał, co się w nim dzieje. Jakie struny poruszyła w jego sercu ta młoda kobieta?

- Urodziłem się w 1921 roku w Warszawie, w rodzinie należącej do tak zwanej śmietanki towarzyskiej. Mój ojciec był farmaceutą, znanym w całej przedwojennej Warszawie. Wyrabiał leki, które kupowali wszyscy. Mama natomiast była wspaniałą aktorką, grającą u boku najlepszych i najbardziej znanych artystów. Moje dzieciństwo było cudowne – mówił starzec z lekko drżącym i smutnym głosem. – W 1938 poznałem Marię Rosenbaum, była moją wielką miłością – w oczach starca pojawiły się łzy. Zatrzymał się i zamilkł zamyślony.

- Możemy wrócić do tego kiedy indziej – powiedziała Magda wspierającym głosem, przytulając Seweryna.

Staruszek poczuł olbrzymią chęć wyżalenia się komuś z bólu całego swojego życia. Bariera, która otaczała jego serce, pękła. Z jego oczu zaczęły lecieć łzy.

- Panie Sewerynie, czy wszystko jest w porządku? – zapytała z troską dziewczyna.

- Chodźmy do domu, tam ci wszystko opowiem.

- Oczywiście – odpowiedziała Magda nieco zaniepokojona stanem staruszka.

Udali się do sypialni, gdzie dziewczyna usiadła w wielkim, welurowym fotelu. Seweryn chwycił i przytulił do siebie zdjęcie swojej ukochanej z czasów wojennych i zajął miejsce przy dębowym biurku.

- To ona, moja Maria. Nie zasługiwała na to, co ją spotkało. Nie zasługiwała... – powtarzał mężczyzna.

- Jeśli mogę spytać... Co spotkało pańską wybrankę? – zapytała nieśmiało młoda kobieta.

- Gdy zaczęła się wojna, ja miałem osiemnaście, a ona siedemnaście lat. Od ponad roku byliśmy parą i bardzo dobrymi przyjaciółmi. Była Żydówką, więc niedługo po rozpoczęciu niemieckiej okupacji musiała zamieszkać w getcie. Podczas pierwszych wywozków do obozów koncentracyjnych miała zostać wywieziona do Ravensbrück. Udało mi się jednak przechwycić ją z dworca. Ukrywałem ją przez dwa miesiące, podczas których zaplanowaliśmy wspólną ucieczkę. W jej przeddzień, gdy byłem w pracy, została złapana i ponownie przeniesiona do getta. Było to na tydzień

przed wybuchem powstania w getcie warszawskim, w którym niestety... zginęła – staruszek załkał.

- To strasznie smutna historia – Magda otarła łzę i podeszła Seweryna, by położyć mu rękę na ramieniu. Przyłożył swoją dłoń.

- Po śmierci Marii nie mogłem się pozbierać. Gdy tylko skończyła się wojna, wyjechałem do Monako, gdzie udało mi się zarobić dużo pieniędzy. Zyskałem tam szacunek, znajomości i sławę, lecz nie znalazłem szczęścia. Wróciłem do Polski w 1989 roku. Przez te czterdzieści cztery lata Polska zmieniła się diametralnie. Będąc już starszą osobą, podziwiałem ponowny rozwój naszej ojczyzny, ale nie znalazłem tu nikogo bliskiego. Dziś jestem samotnym staruszkiem. Samotność tylko pogłębiła moją zgorzkniałość i opryskliwość. Żyję samymi wspomnieniami – powiedział ze łzami w oczach.

- Teraz będzie pan miał mnie... – uśmiechnęła się nieśmiało dziewczyna.

- Proszę, niech pani nie bierze mojej opryskliwości do serca, nie jestem przyzwyczajony do widywania ludzi – mówił starzec błagalnym tonem.

- Nie ma problemu – uśmiechnęła się młoda kobieta spoglądając prosto w oczy Seweryna. – Nie miałby pan ochoty jeszcze raz przejść się po ogrodzie?

Gdy wyszli, ze zdumieniem zauważyli, że cały ogród pięknie rozkwitł. Przyroda zdawała się uśmiechać do staruszka i jego opiekunki. Białe, żółte i czerwone róże rozkładały się. Szmaragdowa trawa odbijała promienie słońca po całym ogrodzie. Suche gałęzie bluszczu obrastające willę pokryły się malachitowymi liśćmi. Cały ogród i cały świat zdały się Sewerynowi piękniejsze i bardziej kolorowe. Ujrzał też białą gołębicę na samym środku ogrodu, patrzyła ona na staruszka z pełnym spokojem. W sadzawce, która zawsze była pusta, plusnęła ryba. W pewnym momencie promień słońca skierował się na gołębicę, która odleciała w kierunku niebios. Seweryn poczuł w głębi swojego serca, że był to znak od Boga, na który w skrytości smutnego serca czekał całe swoje życie... O dziwo, odkrył Go nie poprzez analizowanie czy doszukiwanie się dowodów w zakamarkach swojego umysłu. Wystarczyło jedynie poczuć się wysłuchanym, potrzebnym. Wystarczyło pokochać to dziewczę, które trzymało go właśnie pod ramię, jak córkę, której nigdy nie miał szczęścia posiadać.

Wyróżnienie: Zuzanna Puskiewicz (Bydgoszcz)

godło: Zuza

MASKA

Idzie przez świat ze spuszczoną głową. Nie wychyla się. Nie czuje nic. Tłumaczy sobie, że to dla bezpieczeństwa. Nie zauważa nawet, kiedy stapia się z resztą szarej masy. Kolejna jednostka dodana do statystyki. Wmawia sobie, że tak jest lepiej, łatwiej,. A w życiu chyba o to chodzi, żeby szukać najprostszych rozwiązań. Głosy w jej głowie utwierdzają ją w przekonaniu, że lepiej upraszczać sobie życie, pozostawać w swoim ciasnym pudełeczku, światu pokazując tylko tę jedną z wybranych masek. Po co być Kimś, kimś innym niż reszta, jeśli można być Niczym, czyli kolejnym szaraczkiem, by nie narażać się na wyśmianie przez innych. Po co być sobą w społeczeństwie klonów, gdzie każda oznaka inności zostanie zlikwidowana przez tłum? Każdy głos sprzeciwu zawsze będzie zduszony w załężku.

Aż do tego momentu. Słyszy teraz ten jeden cienki głos, który próbuje przebić się przez mur: czy to jeszcze Ty, czy to już tylko Twoja maska? Samotna łza spływa po jej policzku. Staje. Zamyka oczy. Natłok myśli nagle znika. W jej głowie zostaje już tylko jedno pytanie: Kiedy zaprzedałam swoją duszę? Po co mi to przebranie?

Widzi siebie w ciemności – samotną, błądzącą w mroku. Idzie coraz szybciej, jednak nadal jedyne co widzi dookoła, to czerń. Zaczyna biec, jej oddech przyspiesza. Nagle, w oddali widzi lustro. Mimowolnie opanowuje ją strach. Serce bije jej coraz szybciej. Powoli do niego podchodzi. Nie wie, co w nim zobaczy. Przeraza ją to. Jest obnażona ze swojego przebrania. Czuje się taka mała i bezbronna. Rozgląda się za czymkolwiek, za czym mogłaby się schować. Dookoła nadal widzi tylko czerń i duże, stojące lustro w oddali. Nie jest pewna, czego boi się bardziej – tego Kim się stała, czy tego Kim tak naprawdę jest.

Nie widząc innego wyjścia, podchodzi do zwierciadła. Po kilku chwilach zbierania się w sobie, szukania siły psychicznej, by spojrzeć w nie, w końcu to robi. Widzi dziwną, odrażającą kreaturę. Ma pusty wzrok. Garbi się, jakby bała się spojrzeć innym w oczy. Jej skóra jest matowa, a ubrania takie... niezwracające na siebie uwagi. W jej głowie pojawia się pytanie: Czy to jestem ja? Nie! Nie! Nie? To nie mogę być ja. Niemożliwe. Po jej policzkach zaczynają spływać łzy. Jej ciało drży.

Niespodziewanie po jej prawej stronie pojawia się postać wyglądająca dokładnie tak samo jak ona. Uśmiecha się złośliwie. Z jej ust zaczynają wypływać słowa, które bołą co najmniej jak noże wbijane prosto w serce: - Jesteś słaba. Nic nie znaczysz. Nie masz nikogo. Nikt cię nie chce. Nikogo nie obchodzisz. Dlaczego

jeszcze żyjesz? Nie poznajesz siebie w lustrze? To jesteś prawdziwa Ty – obślizgłe, paskudne... coś. Nie można Cię nawet nazwać człowiekiem.

Łzy zamieniają się w ciche szlochanie. Jedno pytanie krąży jej po głowie – Czy to jestem prawdziwa ja? Po chwili postać po prawej wyjmuje coś zza pleców. Maskę. Podaje jej ją, mówiąc, że to jedyne, co zakryje jej obrzydliwe wnętrze i da szansę na jakiegokolwiek życie. Jej jedyna szansa na akceptację i szacunek innych.

Po chwili z lewej strony pojawia się kolejna postać. Kolejna, która wygląda dokładnie tak samo jak ona. Ta osoba jednak ma na twarzy kojący uśmiech, a w jej oczach widać nadzieję. Kładzie jej dłoń na ramieniu. Zaczyna ją przekonywać, że to co widzi w lustrze, to maska, którą przybrała, żeby pozostać w swojej strefie komfortu. Tłumaczy jej, że musi przestać wątpić w siebie, że jest chora od noszenia maski i jeśli teraz ponownie nałoży ją na twarz, to zamknie się już na zawsze w klatce, którą sama zbudowała. Postać podaje jej duży kamień i mówi, że musi zabić tego, kim się urodziła, by stać się tym, kim chce być. Musi zniszczyć kreaturę, którą widzi w lustrze, by stać się na nowo Osobą, którą jest tak naprawdę. Osobą, którą chce być. Mętlik w jej głowie narasta. Głosy z obu stron mieszają się ze sobą:

- Jesteś nikim.

- Strach nie jest twoim przeznaczeniem.

- Jesteś jednym wielkim błędem.

- Nie możesz kryć się wiecznie.

- Jesteś za słaba, by iść sama przez życie.

- Jesteś wystarczająco silna, by zmierzyć się ze swoim przebraniem.

Ta jedna myśl przeważała szalę. Wzięła kamień do ręki i rzuciła nim z całej siły w lustro.

- Nie będę maską, strach nie jest moim przeznaczeniem – krzyknęła.

Patrzyła jak zwierciadło rozpada się na tysiące malutkich kawałeczków. Ogarnął ją wewnętrzny spokój. Kreatura oraz postać, która znajdowała się po prawej, zniknęły. Persona z lewej biła jej brawo. Ostatnie co powiedziała, zanim zniknęła, długo pozostało w głowie bohaterki – Czasem musisz stracić nadzieję, by odnaleźć siebie. Zgubić swoją drogę, aby znaleźć dom i schować się, aby przeżyć. Nie obawiaj się dalej iść przez życie, nawet jeśli będzie to samotna wędrówka. I najważniejsze – nie pozwól, aby ktokolwiek kiedykolwiek ugasił ogień, który w Tobie płonie.

Otworzyła oczy. Po łzach nie było już śladu. Grymas na jej twarzy zastąpił szczerzy uśmiech. Wszystko, co do tej pory zrobiła i osiągnęła, nagle wydawało się jej bez sensu, bez znaczenia. W jednej chwili zrozumiała, jak wiele ją ominęło, jak wielu wyzwania nie podjęła ze względu na strach przed byciem ocenianą. Mogłaby już od dawna być na szczycie, a zamiast tego przez wiele lat trwała w jednym miejscu.

Wiedziała, że musi sobie wybaczyć błędy i zostawić je w przeszłości – tam, gdzie ich miejsce. Nie zamierzała stać się ich ofiarą.

Teraz wszystko dookoła wydawało jej się zupełnie inne. Wszystko, co znane, wyglądało na dzikie, nieodkryte. Nie wiedziała, jak jej życie się potoczy, jednak nie była zmartwiona z tego powodu. Była przekonana, że już nigdy nie da się zamknąć w swoim starym, wygodnym pudełeczku. Już nigdy nie nałoży na siebie przebrania, które zakrywa to, Kim jest naprawdę.



*Utwory związane
z Wandą Niedziałkowską-Dobaczewską*

Utwory nawiązujące do twórczości

Wandy Niedziałkowskiej-Dobaczewskiej (w kat. A – dorośli)

Anna Spychaj (Bydgoszcz)

godło: GARŚĆ SZPINAKU

(...)

*Czas odetchnąć – Pozrzucaliśmy obrożę
a wciąż jeszcze coś się wikła. Czegoś brak.
Może jutro będzie lepiej. Może.
Tak – tak.*

W. Dobaczewska

*

Wyszła na spacer, odetchnąć od duszącego zapachu mieszaniny przypalonej cebuli i dymu papierosowego, chociaż tym, co najbardziej motywowało ją do wyjścia z domu każdego dnia około południa było nadchodzące pasmo telewizyjnych programów w zakresie szeroko pojętej mody i urody, stanowiące najlepsze źródło rozrywki jej matki. Tego dnia zapowiadało się wyjątkowe widowisko, bo na anteny wchodził nowy cykl poświęcony sukniom ślubnym. Ewakuacja była koniecznością.

Na zewnątrz pachniało za to wczesną wiosną. W skład powietrza wchodziły oczywiście też spaliny samochodów i nadal spora część odpadów niewiadomego pochodzenia wydobywająca się z kominów osiedlowych domów, ale dało się wyczuć, że jest ich mniej, albo tak przynajmniej oszukiwała swoje zmysły Monika. Trawa zaczynała się zielenić, a na pojedynczych gałęziach nielicznych drzew zdarzało się dostrzec jaśniejsze punkciki. Krótkie włosy kobiety przyjemnie smagał lekki wiatr, dodatkowo układając niesforne kosmyki. Monika była dumna z fryzury, którą wybrała: tył i boki mocno przystrzyżone maszynką, grzywka zaczesana do góry, a na czubku głowy kompozycja przypominająca nieco ciemne ptasie pióra. Wyrażały i wzmacniały jej pragnienie wolności, a przyroda była jej sprzymierzeńcem. Nie zamierzała być jedną z tych długowłosych dziewczyn chowających głowy pod czapkami i kapturami. Ale otoczenie zamiast pięknych ptasich piór widziało jedynie „kaczy kuper”, „bocianie gniazdo” albo, w najlepszym razie, „totalny brak kobiecości”.

To dlatego uciekała przed wzrokiem matki, zwłaszcza w momentach, gdy ta miała do kogo porównać córkę. Jej zdaniem, poza kolorem i długością włosów, należało zmienić również garderobę, przyzwyczajenia i zainteresowania Moniki, bo

przecież „nie jest już taka młoda”, „etap nastoletniego buntu minął” i – ulubione zdanie córki – „czas się ustatkować”. Ustatkować? W wyobraźni matki miało to z pewnością oznaczać bezmyślne przywiązanie do przypadkowego osobnika płci męskiej, po to, aby móc „odhaczyć” punkt na wirtualnej liście prymitywnych życiowych osiągnięć przeciętnej kobiety, najlepiej wraz z rychłymi narodzinami dziecka, bo to daje wymówkę od wszelkich ambicji, przynajmniej na pewien nieokreślony datami okres, gdy człowiek rozpląwa się w bezwarunkowej miłości do swojego potomstwa.

Właśnie, kiedy się kończy ta bezwarunkowa miłość? – prychnęła w duchu Monika, idąc wzdłuż jednej z głównych ulic wylotowych z miasta, jej ukochanego miasta. Nogi niosły ją do pobliskiej Puszczy. Uwielbiała przechadzać się oznakowanymi szlakami pieszymi i układać w głowie słowa opisujące tamtejszy krajobraz. Kochała zresztą każdy fragment rodzinnego miasta, od popękanej płyty chodnikowej przed blokiem, przez zarówno gnuśniczące, jak i sukcesywnie odrestaurowywane kamienice w centrum, po opuszczony budynek bez okien, służący jako schronienie dla bezdomnych, który aktualnie mijała. Każdy element miał sens i składał się na całokształt jej świata.

Większość znajomych wyjechała z Bydgoszczy do większych metropolii, głównie do Warszawy, Poznania, Krakowa – podobno tam więcej się zarabia, łatwiej o „kontakty”, cokolwiek to oznacza, ale przede wszystkim „jest co robić”. Monika dostała nawet propozycję pracy w stolicy, z możliwością zamieszkania z koleżanką w modnej okolicy, ale ani przez chwilę nie rozważała tej opcji. Miała głębokie przekonanie, że dopóki czynniki zewnętrzne jej nie zmuszą do zmiany, chce zostać w znanych sobie kątach, nauczyć się ich na pamięć i pisać o nich, oddawać ich barwy i emocje, pokazać lokalnej społeczności i innym niedowiarkom z całej Polski, jak nieustannie bije serce miasta, a promienie słońca co dzień odkrywają jego duszę.

Przeszła przez dziurę w płocie i zachłysnęła się ciszą. Czowała się bezpieczna, kilka dobrych kilometrów od matki, telewizji i dyktującego chore warunki świata pozorów. Tutaj nikt nie mówił jej, że wygląda i zachowuje się jak facet, a leśne stworzenia nie wytykały jej staropanieństwa, za to każdego razu na nowo rozpościerała się przed nią nieskończona zielona otwarta przestrzeń, którą można było wypełniać myślami i nadziewać pięknem, w przeciwieństwie do pętli zaciskającej się na szyi Moniki podczas tak zwanych spotkań towarzyskich w dusznych kawiarniach i ciasnych mieszkaniach.

W którym momencie kończy się ta bezwarunkowa rodzicielska miłość? – powróciło do niej głośnie pytanie, przyniesione jakby przez zabłąkane echo, choć żadnego ze słów nie wypowiedziała na głos. Może, jak wiele innych uczuć, ma swoje granice i warunki, i wysycha, kiedy okazuje się, że nie spełniamy matczynych „ambicji”? Podobno to, kim jesteśmy, w dużej mierze zależy od środowiska, w którym

dorastamy, może to więc matka uczyniła ją tym, kim chce być, nawet jeśli swoim zachowaniem wzbudziła w Monice pragnienie całkowitego zaprzeczenia bycia matką – swoją matką i matką w ogóle?

Podobno też taki tolerancyjny jest ten dzisiejszy świat, XXI wiek rozumu i oświecenia, odrzucone uprzedzenia i zabobony, wszechobecne równouprawnienie, odpowiedni rozkład procentowy aktorów o poszczególnych kolorach skóry w filmach, ruchy homoseksualne, opadła kurtyna, nie ma tematów tabu, zrzucane zostały kagańce i obroże, panuje wolność słowa, wszyscy tak głośno krzyczą... a efektów próżno szukać. Ludzie nadal poddawani są społecznym torturom, może nie fizycznym, nie są segregowani i nie podlegają zsyłkom, ale bombardowani są inaczej, nadmiarem bodźców pokazujących, jak żyć. Są królikami doświadczalnymi świata, poddawany coraz większej presji, w oczekiwaniu na zakończenie wielkiego eksperymentu. Wystarczą zdjęcia, plakaty, spojrzenia, nie potrzeba nawet słów, żeby poczuć się nieatrakcyjną, nieprzystosowaną, niewystarczającą, nie-osobą. Kto pociąga za sznurki?

Ale zdarzają się na szczęście chwile takie jak ta – Monika nabrała w płuca tyle powietrza, ile tylko zdołała. – Kiedy wśród odradzającej się po zimie przyrody znajduje się kolory tęczy, kiedy na szlaku spotyka się przechodnia, który, witając cię uśmiechniętym „cześć”, nie pyta o to, kim jesteś, kiedy ponad koronami drzew pokazuje się słońce, rozświetlające drogę przed i za tobą, kiedy całą sobą czuje się harmonię między niebem i ziemią, kiedy powraca wiara, że jesteś tam, gdzie powinnaś być, po to, aby pisać, aby na moment zapomnieć, nabrać sił, dziękować, podziwiać. Wyjęła z kurtki notes i długopis.

Aby słońce na niebie, twoim niebie, mimo wszystko nigdy nie zbladło.

Utwory nawiązujące do twórczości

Wandy Niedziałkowskiej- Dobaczewskiej (w kat. B – młodzież do 18 lat)

Zofia Stelmaszczyk (Kraków)

godło: STOLICZEK KAWOWY

Było to ciepłe popołudnie, przedzierające się przez lekkie, haftowane firanki. Promienie słońca rzucały miodowe plamy na drewniany stolik kawowy. Starsza pani usiadła ociężała na bujanym fotelu z wyplatany siedzeniem. Powiodła smętnym wzrokiem po pokoju, natrafiając na ów stoliczek. Patrzyła na niego uważnie, marszcząc twarz. Oprócz jej ulubionej herbaty z mlekiem ze zbyt dużą ilością cukru, znajdowała się tu również zdobiona w kryształowe wzorki szklanka z grubego szkła, wypełniona po brzegi kompotem brzoskwiniowo-jabłkowym. Niewiarygodne było to, że jeszcze tydzień temu wnuczka starszej pani, Klara, robiła go z nią w kuchni obok. Mimowolnie powiodła swoje myśli do tamtego popołudnia.

- Musisz bardzo ostrożnie przelać to do miski, uważając, aby nie wpadły fusy – poinstruowała ją babcia Stasia – bo tak miała na imię. Klara ochoczo złapała dzbanek, rozlewając kompot dookoła.

- Ojejku – pisnęła słodkim głosem – przepraszam cię Babciu – westchnęła żałośnie. Na co kobieta zaśmiała się wdzięcznie.

- Przecież nic się nie stało, aniołku. To tylko kompot – poczochrąla jej włosy, uśmiechając się ciepło.

- Babciu, to jest aż kompot – zanosła się śmiechem Klara, do której zaraz potem dołączyła Babcia.

Teraz Klara już nigdy nie zrobi z Babią kompotu ani nie przybiegnie ze szkoły ze śmiechem, nie usiadzie na starym brązowym fotelu obok Babci, nie będzie już siorbać kompotu z dużej szklanki, słuchając przy tym jej ulubionych wierszy. Klara odeszła na zawsze, zdecydowanie zbyt wcześnie. Była ona wesołą dziewczynką, z włosami w kolorze mysiego blondu zaplecionymi w dwa warkocze. Bardzo lubiła słuchać wierszy, a najbardziej tych z tej starej książki w płóciennej okładce z plamą atramentu na dole, zaś u góry z ledwo widocznym już napisem „*Na chwałę słońca*”.

Stanisława spojrzała na duży brązowy fotel, na którym w zwyczaju miała siedzieć Klara, leżała na nim owa książka. Siwowłosa pani dźwignęła się, aby ją podnieść. Przejechała pomarszczoną ręką po chropowatym materiale pożąłkłej okładki. Dokładnie pamiętała dzień, kiedy kupiła tę książkę.

- To jest proszę pani poezja na najwyższym poziomie – zapewnił sprzedawca książek na pchlim targu i jakby na potwierdzenie swoich słów, potrząsnął tomem przed nosem Stasi.

- Tak, tak rozumiem – odparła, wtedy jeszcze młoda kobieta, dyskretnie odsuwając się od sprzedawcy.

- No ale w trochę oplakany stan – zmarszczyła nos, widząc zdemastrowaną książkę.

- Proszę nie oceniać książki po okładce, proszę pani! – oburzył się sprzedawca.

- Tak, tak przepraszam – uśmiechnęła się rozbawiona

- A to, jak jej tam było...tej autorce – zamyśliła się – ...Dobczyńska?

- Dobaczewska, proszę pani – wykrzyknął niemalże, wyrzucając ręce do góry. – Słynna polska pisarka przecież, napisała również „*Kobiety z Ravensbrück*”. Świetna, poruszająca książka – stwierdził fachowo. – Jednak ta – potrząsnął książką – to jest poezja na najwyższym poziomie! – powtórzył z mocą.

Kącik ust kobiety drgnął na to wspomnienie, jednak, odkąd straciła Klarę, nie umiała się już uśmiechnąć. Potarła podkrążone oczy po przeplakanej nocy i delikatnie otworzyła tomik, jakby był to największy skarb. Książka pachniała starociami, a strony trzymały się jeszcze na słowo honoru. Siwowłosa otworzyła książkę i zagłębiła się w lekturę. Wcale nie dziwiła się, że sprzedawca tak bardzo polecał tę książkę, czy, że Klara tak bardzo za nią przepadała. Była po prostu piękna, czysta, prawdziwa, a jednak wyobrażona. Człowiek zanurzał się w niej i nie mógł oderwać, przenosząc się na dobre do krainy wiosennych lasów, letniego wiatru i południc, a to wszystko opatrzone w tajemnice i legendy o zapomnianych bogach opowiedane przy akompaniamencie pogańskich pieśni i starych tradycji. Każdy wiersz przynosił nowy wieniec emocji, a aura poezji była wręcz namacalna.

Po przeczytaniu dwóch wierszy, pierwsze łzy zaczęły się pojawiać na starym policzku kobiety, a zaraz potem przerodziły się w głośny szloch. Starsza pani zacisnęła zęby i pochyliła się nad książką. W środku czuła ogromny żal, smutek i cierpienie, ale też pustkę.

- Straciłam cię – szepnęła. – Straciłam cię, moja wnusiu, zbyt szybko – pociągnęła nosem, a pokój jeszcze przez długie godziny wypełniał szloch kobiety.

Tak właśnie została sama, w białym, małym pokoju z brązowym siedziakiem Klary i z jej bujanym fotelem, ze stolikiem kawowym, ze szklanką kompotu, którego już nikt nie wypije... płacząca, pochylona nad książką, oddająca swe łzy Klarze i zachodzącemu słońcu.

Utwory nawiązujące do twórczości

Wandy Niedziałkowskiej- Dobaczewskiej (w kat. B – młodzież do 18 lat)

Ewa Szczęsna (Owiewka)

godło: AUTOR 14

PRZEBŁYSKI POEZJI

Pewnego ranka chcę oderwać się od rzeczywistości, dać się ponieść wyobraźni. Odwiedzam cmentarz w Żninie, wolnym krokiem podchodząc do grobu Wandy Dobaczewskiej.

Dręczy mnie wschodzące słońce. Gwałtownym ruchem zasłaniam rękoma oczy. Staję się strasznie poirytowana. Nagle, do mojej głowy napływa strumień myśli. Myśli, o refleksjach patronki mojej szkoły, właśnie o słońcu. Otóż gdy my, przeciętni ludzie widzimy w nim tylko rażące światło – ona dostrzegła dużo więcej. W swoich dziełach napawała się jego uśmiechem, którym rozpromieniał cały świat przyrody. Kochała je za jego łzy i purpurowy róż. Była mu wdzięczna za odstraszenie mroku. Od razu więc uspokajam się. Opuszczam z twarzy ręce, aby moje oczy mogły podziwiać ten olśniewający widok. Biorę kilka głębokich oddechów, czuję niesamowitą rozkosz.

Zaraz... co się dzieje? Nagle słońce gaśnie, jakby na zawołanie. Odczuwam podmuch wiatru na mojej cienkiej kurtce. Upiorny klimat doprowadza mnie do strachu. Przypominam sobie powieść *Kobiety z Ravensbruck*. Przytłacza mnie okrucieństwo, z jakim traktowano je w tym miejscu. Był to bowiem najcięższy i najokrutniejszy obóz koncentracyjny dla kobiet, w którym więźniarki bito, torturowano, zmuszano do niewolniczej pracy, głodzono, poddawano zbrodnictwym eksperymentom medycznym, a ich nazwiskiem był przydzielony numer obozowy. Przechodzi mnie dreszcz. Podziwiam Wandę Dobaczewską za jej wytrwałość w tamtym okresie. Za niebywały heroizm i siłę ducha. Za to, że udało jej się przeżyć ponad cztery lata w tym piekle, a zaraz po oswobodzeniu obozu napisała książkę, w której wszystko relacjonuje. Jak dobrze, że te czasy już minęły...

Na szczęście, wiatr przestaje już wiać. Ach, jakże przyjemnie jest znów poczuć ciepłe słońce. Moją uwagę przykuwa pobliska łąka. Mam straszną ochotę się na nią wybrać. Wychodzę więc z cmentarza. Tym razem, myślę o wierszu „Na łące”. Widzę modrą otchłań nieba, na którym latają jaskółki – ich śpiew to miód dla moich uszu. Różnorodność roślin zapiera mi dech w piersiach. Widzę białe rumianki, mietli-

ce oraz szczawie, które pachną czystym i wonnym westchnieniem, dostrzegam krople porannej rosy.

Po chwili odwracam wzrok. W oddali zauważam drzewo, a właściwie – kilka drzew. Przypatrując się dłużej, wiem już, że są to lipy. Ale... jedna z nich jest wyjątkowa, inna niż wszystkie. Wtedy przed oczyma widzę słowa z wiersza pisarki o lipach i jestem pewna, iż nie jest to zwykła roślina, zdecydowanie nie. W tej lipie jest coś wprost cudownego. Muszę się jej przyjrzeć z bliska. Pośpiesznym krokiem wykonuję mój zamiar. Teraz mogę obserwować lśniące nad nią motyle, tysiące promienistych rąk słońca, którymi ją pieści. Mogę nasycić wzrok szmaragdową zielenią. Widzę jej rozległe korzenie – Ciekawe jak długo już tutaj rośnie? Podchodzę jeszcze parę kroków bliżej, po czym wyczuwam błogą woń upału i miodu. Co prawda, miałam przyjść tu tylko na parę minut, ale... nie, nie będę teraz o tym myśleć, nie chcę psuć tej chwili. Szybko wracam do napoczętych wcześniej odczuć. Czas mija nieubłaganie szybko, lecz dla mnie – jakby stanął w miejscu. W końcu, mimo wczesnej godziny robię się zmęczona. Nie namyślając się długo, kładę się pod kwitnącą lipą i czuję się, jakbym leżała w samym sercu Ziemi. Zasypiam...

Budzę się dopiero późnym wieczorem. Słońce już dawno zaszło, teraz na niebie gości księżyc, tworząc zupełnie inną odsłonę całego krajobrazu, którą bardzo chcę popodziwiać, choć przez chwilę, ale... muszę już wracać.

Wkrótce znów odwiedzę to miejsce.

*Utworky nawiązujące do twórczości
Wandy Dobaczewskiej (w kat. A – dorośli)*

Krzysztof Karwowski (*Głuszycy*)
godło: Ankudowicz

CHWAŁA SŁOŃCA – Tryptyk

*(dialog z wierszem „Melodie pogańskie”
Wandy Dobaczewskiej)*

I WIATR PRZEZNACZENIA

Wiatr przeznaczenia odsłonił dźwięki zasypane pyłem —
Nie pomogły zakłęcia, zasłanianie oczu i ust – po latach
ziemia otworzyła się, wypluwając prochy

Wiatr przeznaczenia połamał brzozy jeszcze przed południem
Zrywając ich warkocze, zaplecione z melodii krzyku, aby zamilknąć —
ziemia otworzyła się, wchłaniając opadające prochy

Ponoć las jest odwieczny tak jak jego pamięć,
Pełen życia i śmierci, splecionych w mistycznym cyklu
Przemijania, istniejącego teraz lub kiedyś, albo nigdy

II ZNAKI CZASU

Z kościołów dochodzi echo dzwonów,
ale pieśni nikt nie śpiewa,
Na organach zbiera się kurz, promienie słońca,
boskie fluidy gwiazd;
Wieczór pozostaje wieczorem niezależnie
od egzystencjalnej pustki

Rzeczy teraz mają się inaczej –
perspektywa pól ginie w szybkim tempie czasu,
nie dotrzymując kroku zmieniającej się pogodzie – —
Podobno wszystko ma być inaczej

III CYKLE MISTYCZNE

Następny dzień jednak ciągle nadchodzi, aż do chwili kiedy nie wystarczy
Już sił na uniesienie, rozdarcie powiek, by jeszcze raz spojrzeć
I otworzyć usta, nabierając powietrza pełnią oddechu

Śmiech miesza się z łękiem, a kolejne dni nadal nadchodzą,
Wypychane przez Słońce spod linii horyzontów zdarzeń,
Czarnych dziur pamięci, w których jednak nic nie ginie

A życie i tak trwa, niezależnie i jakby bezwiednie —
Splatając w warkocz mistyczny cykl kreacji i zaniku

*Utworthy nawiązujące do twórczości
Wandy Dobaczewskiej (w kat. A – dorośli)*

Przemysław Krajewski (Gdańsk)
godło: DORYFOROS

*„Stare zaułki, stare kamienice...
wilgotną pleśnią porośnięte mury...”*
W. Dobaczewska

KAMIENICA

szczerbatej bramy zapach z ust
przełyk gardziel piwnicy
żebra klatki schodowej
połamane poręczce
wahają się na piętrze
gdzie cierpliwie czeka
darń wycieraczki
chorobliwa światłość
katatonia żarówki
jak palec między drzwi
patyk podtrzymuje klawisz
ubezwłasnowolnienia
niezdarnie złamany
jak na ten przykład sąsiad
zwykły człowiek powszedni
który wczoraj wirował jeszcze
żył zataczał koła (obroty ciała)
dzisiaj ledwo jeden krok
i już dwa z powrotem
w embrion

stan poważny
wymaga leczenia
do fundamentów

*Utwory nawiązujące do twórczości
Wandy Dobaczewskiej (w kat. A – dorośli)*

Irena Czerska (Wilga)

godło: IRENKUS

CHRYSTUS DO ŚWIATOWIDA

*(inspirowane wierszem Wandy Dobaczewskiej
„Światowid do Chrystusa”)*

Spoglądasz wprawdzie w cztery strony świata
Lecz wzrok Twój martwy nie widzi człowieka
A obiecujesz i mamisz przewrotnie
Że błogosławisz i że wciąż nań czekasz
Uparty próżny odbierasz mi chwałę
Że szczodrobliwą dłonią siejesz - łziesz
Wszak dobra zasiew Twój nie zrodzi wcale
Ni na pustkowiu ni wśród żyznych gleb

W drewnianym słupie ukrywasz swą niemoc
Ja zaś ze słupa wydobywam kwiat
Ty mamisz ciała drogocenną schedą
Ja w duszach dobro wprowadzam i ład
Ty nie powstaniesz nie podniesiesz ręki
By suchą nogą przeprowadzić lud
W milczeniu wsłuchasz się w narodu jęki
Lecz spłoniesz w boju gdzie się ściele trup

Błogosławiłeś wszystkim ślubnym godom
Ale od smutku odwracałeś wzrok
Spijałeś nektar z młodych ust perłowych
Rozkoszą zwodząc jako fałszu prorok
To już nie walka ślepy Światowidzie
Ja daję życie Ty zaś dajesz śmierć
Gdy obojętnie przyglądasz się krzywdzie
Szkarłatna z boku mego spływa krew

*Utworky nawiązujące do twórczości
Wandy Dobaczewskiej (w kat. A – dorośli)*

Barbara Medajska (Warszawa)

godło: KAZIUKI_72

KOBIETA Z OBOZU

Pamięci Wandy Dobaczewskiej

Numer obozowy P 5068
pod szarą zmiętą sukienką
głód i pięć lat życia bez marzeń

przyjadą jeszcze do Ravensbrück
tysiące polskich kobiet takich
jak Ona
i dzieci bezbronne

może tylko deszcz nad obozem
schowa Jej sny
w koniczynie
by prowadzone na śmierć kobiety
bronić mogły
ostatniej godności
nagiego ciała

WILNO

Cierpię na bezsenność pomocną
w wybudzaniu wspomnień
nawet nie chodzi o pandemię
utrudnienia w podróżowaniu
przedtem też wyjeżdżałam
w najtrwalsze zakamarki nietrwałego
dzieciństwa
każdym krokiem wstecz

nauczyłam się zapamiętywać
wszystkie zmiany
wskrzeszałam czerwony żwir z placu Lenina
osuszałam Plac Katedralny
po wielkiej powodzi w Wilnie
milkłam nad starymi dachami kościołów Bułhaka
słuchałam Stanisława Fleury'ego pogawędek
rybaków nad Wilią

teraźniejszość z google maps
zamknęła przede mną
wszystkie wyjścia awaryjne
odtąd tułam się jak pasażerka
po ulicach których już nie ma
z moich kin
pozostało tylko jedno
a i ono zmieniło nazwę
ktoś zamalował zastygłym sprejem
miasto które mimo wszystko
oddycha we mnie

*Utwory nawiązujące do twórczości
Wandy Dobaczewskiej (w kat. A – dorośli)*

Anna Czartoszewska (Szepietowo) godło: PESTKA SŁONECZNIKA

1980

w roku w którym ja się urodziłam
Jej słońce zgasło bezpowrotnie

radio wybrzmiało minutę ciszy
jesień opuściła kurtynę i już nie podniosła

nowe wiersze nie wzeszły na wiosnę

24 sierpnia

Poetce – Wandzie Dobaczewskiej

zanim urodzi się wiersz
musi urodzić się poeta / poetka / człowiek
naga kartka bezbronna i czysta
tkanina z pierwszym krzykiem nasączona słowem

niemoc jest największym oceanem
ciągle wybieram wodę z rozbitej łódki
bo nie mam siły jej naprawić
tonę ze zmęczenia

*Utworky nawiązujące do twórczości
Wandy Dobaczewskiej (w kat. A – dorośli)*

Jolanta Michalska (Płock)
godło: SZYPSZYNA

NUMER OBOZOWY P 5068

Podróż pociągiem z biletem w jedną stronę dobiegła końca....
małowniczy zakątek....
jezioro i ocean drzew pachnących żywicą....
w środku hektary piekła ogrodzone drutem pod napięciem....
przy torach z boczną rampą...
drewniane baraki i wartownicy z psami...
makabryczne miejsce na ziemi gdzie wchodzi się bramą
a wylatuje słodkawym odorem dymu z komina.....
prosto do nieba

Odarta z godności
w szaro-niebieskim mundurku i chustce
z ogoloną głową..... staje się numerem P 5068.....
przyszyty do pasiaka
naznaczona brudem....wycieńczona z głodu....
czeka w kolejce po śmierć

wieczorem wśród płaczu i jęków sen okryty płachtą nie nadchodzi....
cierpi dusza i ciało.....
próbuję przetrwać na polu walki o godność.....
w ciepły kwietniowy dzień żołnierze przynoszą
wolność na rękach.

*Utworky nawiązujące do twórczości
Wandy Dobaczewskiej (w kat. A – dorośli)*

Katarzyna Jaroszevska (Kruszyn)
godło: INWENCJA

KARTKA Z PAMIĘTNIKA

Nie pragnęłam umierać tak wcześnie...
Chciałam poczuć jedynie smak wolności...
By na skrzydłach czasu dotknąć nieba,
by już więcej się nie bać
i zburzyć mur nienawiści...
W tym morderczym obozie...
Tam, gdzie ukojenie przynosiło recytowanie poezji...

Moje przyjaciółki modliły się po kryjomu,
a JA z nimi zmwiałałam Koronkę do Bożego Miłosierdzia...
Tylko Bóg mógł nam pomóc...
Tylko on mógł uratować nas od marszu śmierci...
Tylko on wiedział o listach pisanych szyfrem...
Do matki, ojca, brata...
Znajdujących się po tamtej stronie świata...

Jedna z nas podkówkę wykuła w tym piekle...
Druga stworzyła krzyżyk z Chrystusem – naszą nadzieją...
A JA dziś trzymam w dłoniach pamiętnik...
Z wpisami mych sióstr... Mych sióstr...
I portrecik narysowany ołówkiem w obozie...
Tam, gdzie dzieci rodziły się
pod skrzydłami anioła śmierci...

Niejedna z nas była królikiem doświadczalnym...
Niejedna z nas skrywała ból, bo tęskniła,
tęskniła za domem, za nadwiślańską krainą...

Myśli żałobne rodziły nam się w głowie...
Co i rusz z kogoś uchodziło życie...
A JA uświadomiłam sobie tylko,
że to, co umiałam na pewno,
to umrzeć za ojczyznę i to byłaby piękna śmierć...

Jestem jednak tu – na mojej ziemi...
Jestem JA i...
Trzymam w dłoniach czas...
Tak... Właśnie JA...
Kobieta utkana z tysiąca ran...
Kobieta, która kwili i kwili co dnia...
Bo do dziś nie może wyzbyć się snów,
w których jest więźniarką i stoi na apelu w Ravensbrück...

*Utwory nawiązujące do twórczości
Wandy Dobaczewskiej (w kat. B – młodzież do 18 lat)*

Julia Zwolenkiewicz (Gąsawa)
godło: AUTOR 6

NA CHWAŁĘ SŁOŃCA

„Na chwałę słońca”
w debiucie swoim,
nastroje niepodległej
sercem pisała.

Radość życia
i piękno miasta
historią oblekała
niczym masą z ciasta.

Wilno i Warszawę
łączyła w utworach
przypląciła cierpieniem
w gestapowskich okowach.

„Kobiety z Ravensbruck”
świadectwem jej cierpienia.
Lecz umysł jej tęgi
nic z tego nie zmienia.

Żnińska mogiła mchem porośnięta
lecz w umysłach młodych
twórczość Wandy
szlachetnie zamknięta.

*Utwory nawiązujące do twórczości
Wandy Dobaczewskiej (w kat. B – młodzież do 18 lat)*

Kacper Koc (*Gąsawa*)
godło: AUTOR 11

PODZIĘKOWANIE

Urodziła się w Twerze na Litwie,
Rodzina Niedziałkowskich ze szczęścia kwitnie,
Cieszą się wszyscy z małej Wandzi,
Ciekawe jak swoje życie poprowadzi

Ukończyła gimnazjum żeńskie w Wilnie,
Uczyła się oczywiście pilnie,
Pojechała do Krakowa,
Zdobyć zawód i studiować

Humanistka nam wyrosła,
I wie o tym cała Polska,
Dużo wierszy napisała,
Szczególnie dla dzieci, bardzo je kochała

Gdy w Krakowie studiowała,
Tam swego męża poznała,
Wróciła do Wilna dalej pracowała,
W szkole, radiu, artykuły pisała

Niestety wojna wszystko pokrzyżowała,
Aresztowanie, gestapo i do obozu,
Numer nadano i na prycze wygnano,
Tylko pisanie dało jej psychiczne przetrwanie
Na skrawkach papieru,

gdzie tylko mogła,
Przeżycia i lęki zapisywała,
Po wszystkim książkę o tym wydała

Po wojnie praca w Warszawie,
Potem Toruń – radio i teatr,
Działaczka Literatów Polskich,
Dużo w jej życiu się działo

Aż w końcu do Żnina ją przywiało,
1988 r. została patronką szkoły w Gąsawie,
Gdzie popularny jest hokej na trawie,
Jestem obecnie uczniem tej szkoły

I jestem dumny z naszej patronki,
Bo mimo ciężkiej wojennej nagonki,
Dużo pisała i notowała,
I swego talentu nie zmarnowała

Jest dla mnie wzorem pracowitości,
Bo napisała dużo znakomitości,
Ważne dla mnie jej słowa,
„Jak potrafisz to zrób, a jak nie potrafisz to się naucz.”.

Do końca życia w Żninie mieszkała,
I na cmentarzu w Żninie rodzina ją pochowała,
Na jej cześć ten wiersz dedykuję,
Pani Wando „Bardzo dziękuję”!

Wiersz Wandy, który udało się odszukać (po 95 latach),
dzięki jednej z uczestniczek I Ogólnopolskiego Konkursu
Literackiego im. Wandy Niedziałkowskiej-Dobaczewskiej

*Wiersz opublikowany w „Przeglądzie Wileńskim” (z dn. 20 grudnia 1925r.) uzyskał
na nagrodę w Akademickim Konkursie Literackim.
Wanda miała wtedy 33 lata.*

JAKOŚ SZARO

Jakoś szaro, jakoś pusto, jakoś nudno,
choć życie przyspieszonym niby tętnem drga
Niby tłumno na ulicach, a bezludno,
bo twarz każda, choć znajoma, a nie ta.
Pozmieniali się ludziska. No to trudno,
wszystkie burze przesumiały. Trzeba jakoś żyć.
Odbudowa i reformy. Piłka nożna.
Na dnie duszy pokutuje myśl ostrożna:
„Jakoś to inaczej wszystko miało być”.
Przemęczenie, znerwowanie. Pewnie - - pewnie
takie troski dokuczliwe, pełzające,
dni powszednie ani zimne, ni gorące.
Jednostajnie odbarwione w popielaty cień.
Aż się nagle, w tajemnicy, zrobi rzewnie
za latami przedwojennych „Ikarowych lśnień”.
Czas odetchnąć – Pozrzucaliśmy obroże.

A wciąż jeszcze coś się wikła. Czegoś brak.
Może jutro będzie lepiej. Może?
Tak-tak

Wanda Niedziałkowska-Dobaczewska